

Nr 1 (100)

CZASOPISMO LITERACKIE

2025



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 1 (100) 2025
ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta
ul. Sikorskiego 107
66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk
603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Gabriela Rodak, Magdalena Turska

Druk: SONAR Sp. z o.o.
ul. Kostrzyńska 89
66-400 Gorzów Wielkopolski

Na okładce i w numerze znajdują się kolaże autorstwa Agnieszki Dobrzyńskiej

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie
www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

OKAZJE

One (i oni) zawsze to robią! Znajdują odpowiednie słowa, konteksty, tropy. My (redakcja „Pegaza”) rzucamy hasło numeru, a one (i oni), czyli Autorki i Autorzy, wspaniale je interpretują. Wierszem, felietonem i opowiadaniem. Powieścią i miniaturą. Fotografiją, rysunkiem, obrazem.

Chętnie skorzystałabym z okazji i nie pisała tego wstępniaka, w numerze już (prawie) wszystko zostało napisane. Autorzy i Autorki SETNEGO numeru „Pegaza Lubuskiego” wspaniale mnie wyręczyli. W zasadzie każdy z opublikowanych tekstów mógłby nosić nagłówek: TEMAT NUMERU. I aż trzy go noszą – są wszak wspaniałymi definicjami okazji.

A więc chętnie skorzystałabym z okazji i nie pisała... Jednak okazja jest wyjątkowa. I napisać wypada.

Sto numerów, czyli 22 lata temu dzięki determinacji i uporowi ówczesnego prezesa gorzowskiego oddziału ZLP Ireneusza Krzysztofa Szmida i przychylności nowo powołanego dyrektora gorzowskiej księżnicy Edwarda Jaworskiego ukazał się pierwszy numer czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski”. STO NUMERÓW! Wiele zmieniło się od tamtego czasu. Jest inny dyrektor. I inna prezeska. Nowi ludzie pisują na łamach (choć i „starych” też nie brakuje). Inaczej wygląda samo czasopismo.

Tylko okazja wciąż ta sama – nasze cokwartalne święto SŁOWA.

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna „Pegaza Lubuskiego”

CAMINO PALMERO W HOLLYWOOD

Beata Patrycja Klary-Stachowiak

Nigdy nie byłam na tej ulicy, choć zabrała mnie tam Joan Didion.
Szedł z nami jej mąż i niczego nieświadomy młody człowiek z rodziny.
Razem przenikaliśmy światy.
Minęliśmy Franklin Avenue i światła wielkiego miasta odebrały nam mowę.
Wszędzie wszystko było otwarte. W oddali płonęła czerwona łuna.
Z wrażenia przytrzymałam prawą ręką serce. Tak miękkie jak drewno
sosny ukochanego lasu. Tak stabe jak ginące domy.
Żadne z nas nie miało nic do powiedzenia.

BEATA PATRYCJA KLARY-STACHOWIAK: poetka, krytyczka literacka, animatorka kultury. Autorka kilkunastu tomików poetyckich, m.in. *Szczeka- nie głodnych psów*, *De-Klaracje*, *Misterium Solitera*, *Martwia*, *Lęgnia* oraz książki kulinarno-poetyckiej *Wege nad Wartą*. Stypendystka Stowarzyszenia ZAiKS, Fundacji im. W. Szymborskiej, Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zdobywczyni Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa – MOTYLA. Laureatka wielu konkursów literackich, w tym dwukrotnie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.



Z OKAZJI OKAZJI

Hanna Kaup

*Okazje
a każda z nami
jak pierwszy
raz*

Trudno o większą kondensację myśli na temat okazji niż ta, którą w swojej poetyckiej miniaturze wyraził Jerzy Hajduga. Chyba żeby zacytować z *Księgi przysłów, przypowieści i wyrażen przysłowiowych polskich* Samuela Adalberga: „Chapaj byki, póki czas”. Słów nawet mniej, ale jakże inny charakter.

Nie da się nie pisać o okazjach, kiedy przed nami setny numer „Pegaza Lubuskiego”. Toż to okazja sama w sobie. Do składania gratulacji, powinszowań i życzeń na kolejne lata.

Nie da się nie pisać o okazjach, gdy wciąż nadarza się sposobność, by wspominać: a to rocznicę – nie zawsze – zwycięskiej bitwy, a to datę upragnionego wyzwolenia, a to urodziny wielkiego Polaka – by dotknąć tylko okazji patriotycznych.

W XXI wieku sposobności do świętowania mamy aż nadto, ale wolimy – co oczywiste – te radosne czy wręcz absurdalne, jak: Dzień Bigosu, Ptysia czy Słomki do Picia, Dzień Całowania Złotowłosych, Wszystkich Fajnych czy Światowy Dzień Pizzy. Także nowy rok stał się okazją do uczynienia 1 stycznia Światowym Dniem Kaca, by nieco odetchnąć po sylwestrowo-noworocznych szaleństwach.

Ileż to okazji staje przed człowiekiem w czasie jego życiowego wędrowania? Ileż te okazje dają okazji do powinszowań, którym towarzyszą obowiązkowo: szczęście, zdrowie, miłość, wszystko co dobre i koniecznie spełnienie marzeń. A życzymy tego i na Boże Narodzenie czy Święta Wielkiej Nocy, na urodziny, imieniny, rocznicę ślubu lub inny jubileusz, rozpoczęcie albo zakończenie szkoły, w tym zdanie egzaminu, uzyskanie dyplomu czy przyjęcie do pracy wreszcie.

Wśród życzeń zdarzają się te o wygranej w totolotka. Wiadomo, kasa to coś, co nas podnieca. A jakaż by to była okazja do świętowania. Choć... zaraz, zaraz... w dzisiejszych czasach raczej do ukrycia, a nawet ucieczki przed światem, bo niczym złoty deszcz spadliby na szczęśliwca znajomi, ba! wtedy pewnie już „najlepsi kumple”, choćby ci z wojska: „No nie pamiętasz, jak razem odcinaliśmy centymetr po centymetrze do dnia wolności?” albo przyjaciele oczekujący kielicha: „Nie postawisz staremu kumpłowi?”, by szczęście mogło strzelać korkami od szampana i łać się strumieniami nawet kosztem późniejszego zatarcia w pamięci z powodu nadużycia.

Są okazje, które wymagają od nas działania. Bo na urodziny, zaślubiny, przystąpienie do Pierwszej Komunii Świętej czy bierzmowania tudzież z innych powodów trzeba – taki zwyczaj – podarować jakiś godny prezent. Z tą godnością bywa różnie, ale to potem kolejna okazja do narzekania, krytykowania i np. tworzenia klikbajtowych artykułów o tym, jak to młoda para w kopercie znalazła kartkę z gotowymi życzeniami, ale gotówki już nie i co ma zrobić, jak wesele kosztowało krocie.

Okazjom do świętowania sprzyjają odniesione sukcesy – choćby sportowe, ale też kupno nowego samochodu, mieszkania czy domu, a nawet zakończenie pewnego etapu nauki, że o balach na sto dni przed maturą nie wspomnę.

Świętują młodzi, którzy zdecydowali się wstąpić w związek małżeński, organizując tzw. wieczory panieńsko-kawalerskie. Oczywiście osobne, by wybranek/wybranka nie zorientowali się, na co stać przyszłego męża czy za chwilę żonę. I to są tzw. ostatnie okazje, by się wyszumieć, by zapamiętać, jak żyło się na wolności, a z czasem pewnie z żalem westchnąć: „I po co mi to było” – oczywiście nie w odniesieniu do wieczoru, ale późniejszego, znacznie mniej barwnego pożycia małżeńskiego.

A jeśli to pożycie nie wyda, tzn. okaże się życiową pomyłką czy, jak kto woli, porażką, pojawia się nowa okazja – do rozwodu, a ten akt – poparty decyzyjną mocą wysokiego sądu – do zorganizowania imprezy. Co bardziej zdesperowani palą wtedy wszystkie zdjęcia z bytym czy byłą, kasują ich telefoniczne namiary, a nawet kupują miniaturowe trumny, by... pochować obrączkę. Cóż, okazja, czytaj: potrzeba, matką wynalazku. Pojawiają się więc coraz nowsze propozycje, bo co człowiek to inny powód rozstania, inne emocje i inna trauma do przepracowania. Taki rozwód może być inspiracją do diametralnej zmiany. To w końcu kolejna nowa droga życia. Może też skutkować szaleńczymi pomysłami, np. podróżą w nieznane. I to bez przygotowania, bo co więcej można stracić w takiej sytuacji? A nuż trafi się nadzwyczajna okazja, bo – jak mówią – po burzy wychodzi słońce. I w taką podróż można wyruszyć natychmiast, próbując złapać inną okazję, czyli stopa. Taka podwózka może stać się okazją do zawarcia nowej znajomości i kto wie, nawet kolejnego sercowego zwarcia, czyli miłosnego zaptónu. Okazje czyhają na nas na każdym kroku. Wszystko może się zdarzyć, trzeba tylko odważnie postawić pierwszy krok.

Jak mówi porzekadło, okazja czyni też złodzieja. I najczęściej dochodzi do niej, gdy pokrzywdzony nieświadomie pomaga w procederze. No bo jak nie skorzystać z zaparkowanego pod sklepem auta, gdy nie ma w nim właściciela, a za to są i kuszą pozostawione w stacyjce kluczyki? Kroniki policyjne pełne są protokołów z takich zdarzeń. Nie zapominajmy jednak, że mimo iż w razie odnalezienia sprawcy i przedmiotu uprowadzenia poszkodowany otrzymuje skradziony pojazd z powrotem, to też – i tu okazja do wykazania się znajomością przepisów – za wykroczenie pozostawienia niezabezpieczonego samochodu, zgodnie z art. 46

ustawy Prawo o ruchu drogowym – osobnik, któremu roztargnienie skradłto zdrowy rozsądek, zostaje ukarany odpowiedniej wysokości mandatem. Taki trochę miecz obosieczny.

Generalnie człowiek lubi okazje. Kobiety nawet kochają. Szczególnie te handlowe. Zakup kiecki, która kosztowała krocie i szczęśliwie doczekała świętego czasu SALE, to okazja jedyna i niepowtarzalna, to osobiste zwycięstwo i – według dekalogu płci z Wenus – mnóstwo zaoszczędzonej kasy. Kto by pomyślał, że ta mogłaby zostać w portfelu – a właściwie na koncie – nienaruszona, gdyby nie promocja. Ale przecież żyje się tylko raz i trzeba korzystać z okazji – o tym też mówi dekalog płci z Wenus – robić sobie prezenty, sprawiać przyjemności, nawet jeśli nie są warte oferowanej ceny. Bo kto nam zabroni? A do drewnianej jesionki przecież nie zabierzemy. Że zostawić innym? Toż to grzech.

No i jeśli już o odchodzeniu mowa, to też okazja. Może nie najweselsza, może całkiem smutna, ale okazja do spotkań z rodziną, której nie widziało się całe lata i trudno rozpoznać, kto jest kto i skąd przybył. Gdyby nawet przeżyć tę chwilę pożegnania beznamiętnie, to najtwardszy twardziel poczuje okazję do refleksji nad życiem. Pomyśli: „Kurcze, a przecież mógł/mogła jeszcze żyć”, „Taki młody, a już po nim”, „Ileż ona pożyła?” – i obieca sobie, że od dziś będzie inaczej. Że nie odłoży już żadnej okazji na potem, bo potem może nie nastąpić.

„Nie ma co kokietować losu, obiecywać mu, że poddamy mu się troszkę później, następnym razem... Drugi raz może się nie zdarzyć, więc jeśli nie zdecyduje się teraz, to po co się będzie potem żyć?” – pisał Dmitry Glukhovskiy w *Metro 2034*, który bohatera umiejscowił w świecie bez jutra, bez miejsca na marzenia, plany, nadzieje, w świecie, w którym uczucia ustępują instynktom, a najważniejszy z nich to przeżyć. Nawet za wszelką cenę.

Przeżyć życie. I to dobrze. Szczęśliwie. Bo ta jedyna okazja już się nie trafi, bo żaden dzień się nie powtórzy... I choć w tym jedynym życiu czyha na nas niejedna pułapka, to ono jest piękne, wyjątkowe, wspaniałe i każdego dnia obdarza cudami. Może nie manną z nieba, bo tej na półkach sklepowych mamy aż nadto. Nie skandalicznymi sensacjami czy sensacyjnymi skandalami wpychającymi się na pierwsze strony gazet i portali internetowych, ale takimi cudeńkami, które wrażliwcy utrwalają słowem czy obrazem.

I żeby sparafrazować słowa kultowej piosenki Jerzego Stuhra: Dziś każdy pisać i fotografować może, jeden lepiej, a drugi gorzej. Ale niewielu robi to dobrze. I bardzo dobrze. Bylibyśmy niczym sztuczna inteligencja. Jedno kliknięcie i prawdziwy Boży cud. A to polityk na modowym wybiegu prezentujący najnowszy model wakacyjnych slipów, a to pies o gładziusiuniej sierści, której żadna szczotka nie wyczesze, a to chałkoń (nie mylić z wałkoniem, a już na pewno nie z artystą Wilkoniem, bo ten to potrafi ciosać prawdziwe zwierzęce cuda), czyli

czterokopytny stwór, niczym Koń Trojański, upieczony przez cud dziewczę z takich samych cud chałek. Nie. Na szczęście dla ludzkości, żeby umieć coś zrobić wyjątkowo dobrze, trzeba przyjąć od Pana Bozi talencik i wykorzystywać każdą okazję, by go rozwijać. Wtedy najpaskudniejszy nawet dzień rozjaśnisz mądrym albo dowcipnym tekstem czy pełnym emocji obrazem. Stworzysz dzieło sztuki, nie jakiś tam badziew.

Co ważne, okazji do życia sztuką jest coraz więcej, choć niestety, zastępy wtórnych analfabetów, którym ze sztuką nie po drodze – chyba że mamy na myśli przetworzoną i utyłtaną jakimiś chemiami sztukę mięsa – pukają z każdej strony.

Przystówie o mowie, milczeniu i drogocennych kruszczach ma długą siwiznę. Za dzieciństwa tych, którzy dziś noszą srebrne włosy, ludzie mniej mówili, więcej słuchali. Tak się przynajmniej wydaje. Pewnie z powodu powszechnego dostępu do mediów społecznościowych, tej wirtualnej wieży Babel, którą wielu wykorzystuje jako pole do wykazania się najprymitywniejszą ekwilibrystyką słowno-bokserką, do wylania zalegającej w sfrustrowanych trzewiach żółci, dżgania literą w najczulsze punkty przy jednoczesnym poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, czyli naprawienia nieświadomego ludu w imię wyższego dobra przez tych, którzy wiedzą, czują i stoją po prawej stronie życia. Ci prawi, żyjący w poczuciu konieczności spełnienia obywatelskiego obowiązku, nie mogą też nie wykorzystać okazji, by po drugiej stronie ekranu nie błyszczeć kurwikami w oczach, karmiąc się niewytłumaczalną radością z przyżożenia lewego słownego i przekonania, że atakowany właśnie poległ w nokaucie, cierpi i jedyne, co może zrobić, to zamachać białą chusteczką.

A gdyby tak cofnąć czas do lat powojennych, gdy umiejętność czytania i pisania była luksusem? Wyposażona w nią inteligencja posługiwała się polszczyzną tyleż elegancką, co uprzejmą. W przypadku reszty społeczeństwa te umiejętności wyglądały tak źle, że władza ogłosiła ustawę o walce z analfabetyzmem. 80 lat po wojnie doczekaliśmy, że ludzie sprawnie składają litery w słowa i zdania, ale tymi słowami ranią i zabijają. Tyle lat pracy i wysiłku na marne?

Wspomnienie epoki, w której nikt nie marzył o osobistych telefonach, nie śnił o komputerach czy innych cudownych urządzeniach ułatwiających kontakty, a kupno archaicznego protoplasty tabletu, czytaj: oprawionego w szarą, brudnoniebieską czy zgniłozieloną okładkę zeszytu, głównie 16-kartkowego w kratkę, stanowiło wyzwanie, napawa dziwną tęsknotą. To też okazja do wspomnień czasu brulionów bez zbędnych ozdób, lakierowanych powłok czy marginesów, które trzeba było robić samemu od linijki. Czasu, gdy uczeń, który o tym zapomniał, zbierał od nauczyciela uwagi, a nierzadko cięgi.

Kto z młodych dziś wie, co znaczy słowo kaligrafia albo kałamarz? Wystarczy, że wybiorą na ekranie komputera Times New Roman, Comic Sans albo inny Mistral

czy Papyrus, by wszystko układało się pod linijkę. Dziś nawet zeszytów nie muszą nosić do szkoły. Wystarczą tablety. Nie to, co kiedyś, gdy trzeba było ostrzyć ołówki albo maczać w atramencie stalówkę umocowaną w obsadce, bo używanie długopisów „wypaczało charakter pisma”. Ileż to kleksów upadło nieszczęsnym dzieciom na ich nieszczęsne zeszyty. Ileż to uwag oberwały, gdy nie udało im się zapanować nad tym potworem, który potrafił w jednej sekundzie zniszczyć cały ich wysiłek i dawać surowym rodzicom powód do przetrzepania skóry za nieuwagę i małą staranność.

Mikołaj Marcela tamtych czasów, jak pozwolę sobie nazwać Jana Brzechwę, wykorzystał okazję i sprytnie wymyślił, jak odczarować zjawisko zwane nie lubianą polską szkołą z gnębiącymi dzieci nauczycielami. Tuż po wojnie, w 1946 r. napisał *Akademii Pana Kleksa*, historię nieprzeciętnego profesora, któremu zależało przede wszystkim na tym, by jego uczniowie nauczyli się samodzielnie myśleć. Jego dziwna szkoła wyglądała zupełnie inaczej niż tradycyjna. A książka cieszyła się taką popularnością, że na jej podstawie Krzysztof Gradowski wyreżyserował w latach 80. film pod tym samym tytułem. Ostatnia jej ekranizacja z 2024 r. została mocno skrytykowana i nie przyniosła oczekiwanego kasowego sukcesu. Cóż, okazja źle wykorzystana? I tak bywa.

Milczenie i mowa egzystują obok siebie. Kochamy tych, którzy pięknie mówią, a spotkania z profesorami: Jerzym Bralczykiem czy Janem Miodkiem to uczy same w sobie. Za czasów dzieciństwa dzisiejszych silversów taką ucztę dawały monologi Hanka Bielickiej, która urodziła się tuż przed rewolucją październikową, ale – jak powiedział na benefisie 55-lecia jej pracy scenicznej Tomasz Stokinger, „nieprawdą jest, że ją wywołała”. To ona wystąpienia polityków nazwała „gadalizmem”. Gadalizm to było zjawisko powszechne. Należy dodać: ponadczasowe i do dziś aktualne, bo obecne jak nie w Senacie, to w Belwederze, a jak nie w Belwederze czy Senacie, to w Sejmie. „Ile oni głupot w ciągu jednego posiedzenia nagadają, to ja w życiu nie nagadałam, a mało nie mówię” – skwitowała kiedyś wygadana Hanka, co kochała kapelusze. I była ikoną polskiego kabaretu. Takiego spod znaku Starszych Panów, czyli Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego czy Dudka – Edwarda Dziewońskiego.

W tych smutnych czasach telewizja stwarzała okazję, by człowiek poznał inny świat, zobaczył, że słowa da się układać w zgrabne żarty i dzięki temu wykipić system, nie będąc uznanym za wywrotowca. Warto dodać, że mimo istniejącej cenzury, zdarzali się także cenzorzy „z ludzką twarzą” – jak mawia Artur Andrus, którzy mieli świadomość narażenia się na śmieszność, a na to nie mogli sobie pozwolić. Język stał się więc wykorzystywaną za każdym razem okazją i orężem do walki z próbami totalnego podporządkowania sobie mas. Hanka Bielicka natomiast – synonimem kogoś, kto – jak byśmy dziś powiedzieli – ma gadane

i świetnie z tej umiejętności korzystała. Znały ją miliony Polaków i dzięki niej na dziewczynki, które wcześniej mówiły, wszędzie było ich pełno, nie bały się ludzi i nie miały problemów z kontaktami międzyludzkimi, często zamiast po imieniu wołano po prostu: „Bielicka”.

Znałam jedną taką, która wykorzystwała swoją dziecięcą odwagę i jeszcze zanim wystano ją do szkoły, poszła... na staż do sklepu. Może sklep to za duże słowo, ale dwie kamienice od jej domu pomieszczenie handlowe miała pani – dajmy na to – Wardanowska. Maleńkie, w którym sprzedawała wszystko, co potrzebne, a więc mydło i powidło – oczywiście w siermiężnym wydaniu. Kiedy mama czegoś potrzebowała, dawała „Bielickiej” prawie wyliczone pieniądze, mówiła, że ma kupić mleko czy cukier, a za resztę mogła poprosić o cukierki. Tak też robiła. Fajny panował wtedy zwyczaj, że zamiast nosić z powrotem do domu jakieś grosiki, dziecko niosło w buzi ulubiony cukierek. Hmm... jakkolwiek cukierek. I taką okazję wykorzystywała zawsze. Nie tylko ona. Ale któregoś razu, gdy sprzedawczyni pomyliła się w rachunkach na swoją niekorzyść, zwróciła jej uwagę, żeby nie miała manka. Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilka razy, więc mała „Bielicka”, zebrała się na odwagę i zapytała: „A mogłabym pani pomóc?” Kobieta zgodziła się, więc dziewczynka, kiedy tylko mogła, szukała pretekstu, by pójść do sklepiku, bo strasznie kręciło ją sprzedawanie, ważenie, odmierzanie, liczenie i wydawanie. Nigdy się nie pomyliła. A przecież nie było żadnych kas, kalkulatorów czy nawet liczydeł, tylko papier, na którym sumowało się ołówkiem zakupy, a potem, w razie potrzeby, w ten sam zawijało produkty. O zgrozo! Co by dziś na to powiedział sanepid? Miałby niepodważalną okazję, by zamknąć taki przybytek. Mała „Bielicka” za swoją pracę dostawała cukierka czy kawałek ulubionej wielokolorowej galaretki ciętej z bloku, którą – wracając do domu – rytualnie wyjadała w stałej kolejności: najpierw warstwę czerwoną, potem zieloną i żółtą, a na końcu białą – migdałową. Ech, co to był za smak dzieciństwa. Świat od razu stawał się weselszy.

Swoje gadulstwo przeniosta w genach na potomstwo, szczególnie na syna. Sprzyjały temu warunki, gdy zamieszkała w obcym mieście, na czwartym piętrze, bez auta, bez telefonu czy skądkolwiek pomocy. Zajmowała się pierworodnym całe dnie i noce. Gadała do niego, bo nie było czym zająć na dłużej nadpobudliwego malucha, który najlepiej czuł się w jej towarzystwie. A jego ciekawość świata zaskakiwała. Któregoś razu, jako dwulatek, na grzbiecie książki stojącej na sypialnianej półce zobaczył... młotek. „Mama, młotek!” – zakrzyknął, a ona nie miała pojęcia, gdzie go widzi, bo czego jak czego, ale młotka w sypialni nie przetrzymywała. „Gdzie, synku?” – próbowała dociekać. Wtedy on, pokazując palcem, powiedział: „O, tu!” I nagle młodej matce z oczywistym niedługim stażem po raz pierwszy objawił się dziecięcy geniusz. Śmiejąc się z tego odkrycia i bez świadomości, jakie pociągnie za sobą konsekwencje, ustawiła go do pionu, mówiąc: „To nie młotek, kochanie, to literka „t”. Duże „t”.

I lawina ruszyła. Sprytny maluch wciąż – zamiast kultowego pytania „A dlaczego?” – pytał: „A to jaka jest literka? A ta jaka? A ta?”. Nie pamięta, ile trwało, zanim poznał cały alfabet, ale już jako trzylatek czytał wyrazy i proste zdania, a potem odkrył komiksy. I przypadł. Miał też – jak się wkrótce okazało – inną nadzwyczajną zdolność – łatwość zapamiętywania tekstów. Ponieważ był niejadkiem, szukała sposobu, by skłonić go do otwierania ust i przyjmowania posiłków o konkretnych porach. Zaczęła więc wykorzystywać książki. Wiadomo, najlepsze były klasyczne bajki i wierszyki. Wkrótce doświadczenia związane z wykorzystaniem literatury do celów dietetycznych zaowocowały przystawiami czy hasłami jak z reklamy, np.: Chęć do jedzenia dziecka nie przybywa? Zapamiętaj! Najlepsza do tego jest *Lokomotywa* albo: Książka jest jak niania, pomoże maluchowi w konsumpcji śniadania.

Co z tą *Lokomotywą*? Otóż, szczęśliwie posiadając wiele samogłosek otwartych, dawała okazję, by wspólną lekturę wierszyka uczynić zabawą. Kiedy więc zachęcony do powtarzania maluch sylabizował: „looo... kooo... mooo...” za każdym razem w jego buzi lądowała szufla zacierki, kaszy czy innej zupy, którą zwyczajowo jej geniusz gardził. Jaką ona wtedy czuła ulgę. Jak kochała te wszystkie *Lokomotywy*, *Kaczki dziwaczki* czy *Rzepki*, które wspólnie recytowali, przy okazji dostarczając młodemu organizmowi koniecznych witamin. Dodatkowym efektem tych jedzeniowych minispektakli było ćwiczenie czytania i pamięci małego bystrzaka. Dość powiedzieć, że może nie uciekł z przedszkola jak kiedyś jego mama, ale spać za nic tam nie chciał. Gdzieżby tracił czas na takie bzdury jak sen. Chciał żyć, bawić się i wciąż gadać. Ale tzw. leżakowanie to był dla opiekunek czas, który wykorzystywały na chwilę oddechu od bądź co bądź wymagających cudzych stworzeń, więc chłopca przenosiły do starszaków, którym czytał bajki i komiksy. I wszyscy na tym korzystali, ze szczególnym uwzględnieniem tego, który najchętniej wykreśliłby sen z obowiązkowych codziennych czynności.

A kiedy po latach sam zaczął odkrywać literaturę, trafił na twórczość Andrzeja Sapkowskiego, który w *Narrentum* napisał:

Otaczający świat nieustannie na ciebie dybie. Nigdy nie przepuści okazji, by wyrządził ci zniewagę, przykrość lub krzywdę, (...) tylko czeka, aż spuścisz portki, by natychmiast dobrać ci się do twej gołej dupy. Płyną dwa wnioski. Primo: nigdy nie ufaj i nigdy nie wierz w intencje. Secundo: jeśliś sam wyrządził komuś przykrość lub krzywdę, nie gryź się tym, byleś zwyczajnie szybszy. Zadziałateś przewencyjnie.

Czyżby więc to przeczyło wszystkiemu, co wcześniej zostało tu napisane? Absolutnie. Jest tylko okazją do dalszej dyskusji na temat okazji. I żeby uspokoić co wrażliwsze umysły, dodam cytata z Kim Dong-ina:

Istota ludzka próbująca przejść przez życie musi wydawać się małym robaczkiem, próbującym wydostać się ze środka oceanu. Jeśli ten mały żuczek ma choćby najmniejszą okazję, by się dobrze bawić, to absolutnie słuszną i mądrą rzeczą byłoby czerpanie przyjemności z tego, co jest tylko możliwe. Zatem baw się dobrze i ciesz się życiem. Po co się martwić? Dlaczego się zadręczać? Kłopoty także znikną, a pozostaną tylko rozległe niebo i iskrzące się gwiazdy, śmiejące się z upadku ludzi...

*Okazje
a każda z nami
jak pierwszy
raz*

Jednym słowem: Mnóstwa okazji z okazji okazji.

HANNA KAUP: nauczycielka, dziennikarka, poetka, społeczniczka. W latach 2005-2009 redaktor naczelna tygodnika „Ziemia Gorzowska”, obecnie prowadzi portal www.egorzowska.pl. W l. 2004-2005 (wraz z Markiem Piechocim) realizowała w Jazz Clubie Pod Filarami interdyscyplinarne wydarzenia kulturalne *Re-animacje Sztuki*. W 2005 roku założyła Grupę Literacką Wiązałdo działającą przy Stowarzyszeniu Twórczym Wena. Pomysłodawczyni (wspólnie ze Stowarzyszeniem Ruchu Miejskiego Ludzie dla Miasta) i redaktorka wydawnictwa *Dariusz Kostrzewa, czyli gorzowskie historie w karykaturze* (2021). Od 2016 roku tworzy (wspólnie ze Stowarzyszeniem św. Eugeniusza de Mazenoda) biuletyn *Łączą nas ludzie i miejsca*. Autorka tomiku poezji *44 zaskoczenia* (2003), opowiadań włączonych do tomu *Świat i ja, moje dobre i złe dni* (2004) oraz książki dla dzieci *Rozmowiatki* (2024).

OKAZJA CZY PECH, PECH CZY OKAZJA

Maria Gonta

Okazja i pech. Niby dwa przeciwstawne bieguny znaczeń, ale granica pomiędzy nimi bywa cieniutka.

Wyobraźcie sobie, że planujecie spędzić sylwestrową noc na Podlasiu. Marzy się wam pobyt na skraju Puszczy Białowieskiej. Jesteście pewni, że właśnie tam czeka na was bieluchna po horyzont zima. Oczami wyobraźni widzicie kulig rozświetlony blaskiem pochodni, słyszycie parskanie koni. W finale sanny ma miejsce ognisko z parującym grzańcem i lampką schłodzonego szampana o północy.

Wszystko to dudni w was okazją do spełnienia, w rzeczywistości emocje opadają już na etapie szukania noclegów. Agroturystyki od dawna nie dysponują wolnymi miejscami, a pokoi hotelowych pod uwagę nie bierzecie, bo przecież nie o bal sylwestrowy wam chodzi, tylko o zaśnieżoną puszczy, no i o te konie, prychanie, o ten śnieg, co spod kopyt... Czyżby pech też chciał się z wami zabrać? Ależ skąd! To okazja!

Okazja do poznania ludzi, którzy przyjmują was w stuletniej chatupie ogrzewanej piecem. Stoi tam, gdzie łączą się wszystkie pomieszczenia. Jeden z jego boków oddaje ciepło ogromnej izbie mieszkalnej, drugi – niematej kuchni, a kolejny – łazience. Trafiacie tutaj z polecenia właścicielki pewnej agroturystyki, bo zrobiło się jej żal, że takie miłe (przez telefon) osoby nie mogą spełnić swojego marzenia. I to w takiej chwili. Z gospodarzami oczywiście zaprzyjaźniacie się na amen. Jesteście potem wielokrotnie ich gośćmi, wracacie w różnych konfiguracjach: sami, z przyjaciółmi, z rodzicami, z dziećmi i z wnukami. Traktują was jak rodzinę.

Ale to nie koniec niespodzianek losu. Otóż zima pamiętnego roku postanowiła zmienić marszrutę. Zamiast na wschodzie kraju, pojawia się na zachodzie i na sylwestrowy czas zaparkowała w Gorzowie, a nam przyniosła deszcz, solidny deszcz. Kolejny niefart? Gdzieżby znowu! Okazja!

Okazja do spotkania zmokniętego jak kura autostopowicza, który w późne sylwestrowe popołudnie zmierza pieszo do odległego o kilkanaście kilometrów domu znajdującego się w przygranicznej Jałówce. Zabieracie go. Pasażer opowiada wam mnóstwo ciekawostek o historii regionu, pokazuje po drodze kilka atrakcyjnych miejsc, o których istnieniu nie mówią żadne przewodniki, zaprasza do własnej chatupy, gdzie już od progu woła do swojej żony: „Gości ci przywiozłem na sylwestra!”. W końcu prowadzi do drewnianej chatynki, którą ocalił przed zapadnięciem się w niebyt. Kupił ją w którejś z okolicznych wyludniających się wiosek, rozebrał na części, przewiózł na własne podwórko i tutaj odtworzył z zamiarem wykorzystania jako izbę pamiątek regionalnych.

Regionalistę z Jałówki, który jest także kantorem w miejscowej cerkwi, również będziecie w przyszłości odwiedzać, ale tego deszczowego sylwestra uprzejmie wykręcacie się od zaproszenia. W stuletniej chałupie z jednym piecem czekają na was jej gospodarze, a wy obiecaliście im wrócić jeszcze w starym roku. Pijecie herbatę, chwalicie panią domu za pyszne ciasto i serdecznie żegnani wsiadacie do samochodu. W drodze powrotnej zabieracie kolejnego zmokniętego autostopowicza, bo świąteczny czas, paskudna pogoda, a szanse, by ktoś tędy jechał przed północą, właściwie żadne. Młody człowiek rozpytywa się w podziękowaniach, próbuje za przejazd zapłacić, wy jednak nie bierzecie ani grosza – to nie w waszym stylu. Brak aparatu fotograficznego na tylnym siedzeniu zauważacie dopiero po kilkunastu minutach, kiedy sami wysiadacie z auta... Trudno nazwać to zdarzenie szczęśliwym trafem, za to doskonale mieści się w definicji okazji. Dla waszego pasażera podwójnej: autostop nazywano kiedyś okazją (to raz), a jemu trafiał się też złoty interes (to dwa).

Ten pamiętny wyjazd sylwestrowy był dla nas nauką, ale też skłonił do zweryfikowania wiedzy o antycznych bóstwach. Wyjaśnień szukałam w *Księdze przysłów, przypowieści i wyrażen przysłowiowych polskich* Samuela Adalberga, bo przecież „okazja czyni złodzieja” nie mogło być jedynym porzekadłem. I nie było.

Najbardziej zaintrygowało mnie szesnastowieczne przysłowie o okazji, co „z tytu włosy nie ma i trudno ją utąpić” (niby słyszałam, że dzwonią, tylko w którym kościele?). Drażnienie tematu było niczym przejażdżka wehikułem czasu, a ten zatrzymał się dopiero przed obliczem bóstwa Occasio. Nie spodziewałam się, że jest ono mieszanką rzymskiej Fortuny z grecką Tyche i jej męskim odpowiednikiem Kajrosem, a już zupełnie nie miałam pojęcia, że Fortuna/Occasio w naszym kraju nazywana była też Trafunkiem, Przygodą, a nawet Pogodą. To z tego powodu Jan Kochanowski w swojej fraszce *Na Fortunę* pisał:

W tym się Fortuny radzić nie potrzeba:
Chowaj swe dobrze, coć Bóg życzył z nieba;
A kiedy będziesz miał pogodę na co,
Łapaj jej z przodku, z tytu nie masz za co.

Kiedy przyjrzałam się każdej z tych mitycznych postaci, przysłowie o tylszej okazji przestało być tajemnicze.

Fortuna to przecież rzymska bogini uosabiająca zmienność losu, bóstwo szczęścia i nieszczęścia zarazem. W sztuce przedstawiana jest z zawiązanymi oczami i rogiem obfitości w dłoni, z kołem lub sterem u boku albo pod stopami, niekiedy trzyma wzdymający się na wietrze żagiel. Stąd też i powiedzenia: „Fortuna, co jedną ręką daje, to drugą wydziera”, „Fortuna kołem się toczy”, „Nie wierz Fortunie, co siedzisz wysoko” („Takie jest Fortuny igrzysko: raz wysadza wysoko, drugi zszadza nisko”), „Choć fortun sześć, to nie ma co jeść”, „Gdy pani Fortuna zabłyśnie,

to się drzwiami i oknami ciśnie, a jak fortuna minie i przyjaciel, i sługa, każdy w stronę kinie”, „Człowiek śpi, a fortuna muchy ogania”, „Fortuna często rozumowi sprzeczy”, „Fortunie wierzać nie trzeba”, „Fortuna ślepa, a szczęśliwy głupi”.

Tyche natomiast jest jej grecką odpowiedniczką, również ukazywaną z zawiązanymi oczami, ze sterem i z rogiem obfitości. Uosabia przypadek, ślepy los, powodzenie i niepomyślność jednocześnie. Nie ma wątpliwości, że wszystkie cytowane wyżej przysłowia pasują do niej idealnie.

Kajros jest bożkiem sprzyjającej chwili i utraconej bezpowrotnie możliwości, personifikacją dogodnego czasu, który należy łąpać tu i teraz, bo za chwilę będzie za późno.

Occasio zaś jest jego żeńską analogią. W jednym z epigramatów Auzoniusza mówi o sobie: „Jestem boginią, która z rzadka i nielicznym znana jest jako Sposobność”.

Czy można się dziwić, że zarówno Kajrosa, jak i Occasio przedstawiano na rycinach jako postaci z obfitą grzywką i kompletnie pozbawionym włosów tyłem głowy? „Okazja łyśa z tytu, z przodku ją brać trzeba” – każdy, komu się nadarzyła, powinien łąpać ją w lot (jak, nie przymierzając, nasz drugi autostopowicz), bo za moment uchwycić już się nie da.

Najlepiej skwitował to w swoim dziele *Emblematum liber* żyjący na przełomie XV i XVI wieku Andrea Alciato:

Czemu loki nad czołem? – Abyś nadbiegając mógł zostać schwytyany.

Hej, powiedz, a gdzie reszta włosów? Dlaczego tył głowy masz łyśy?

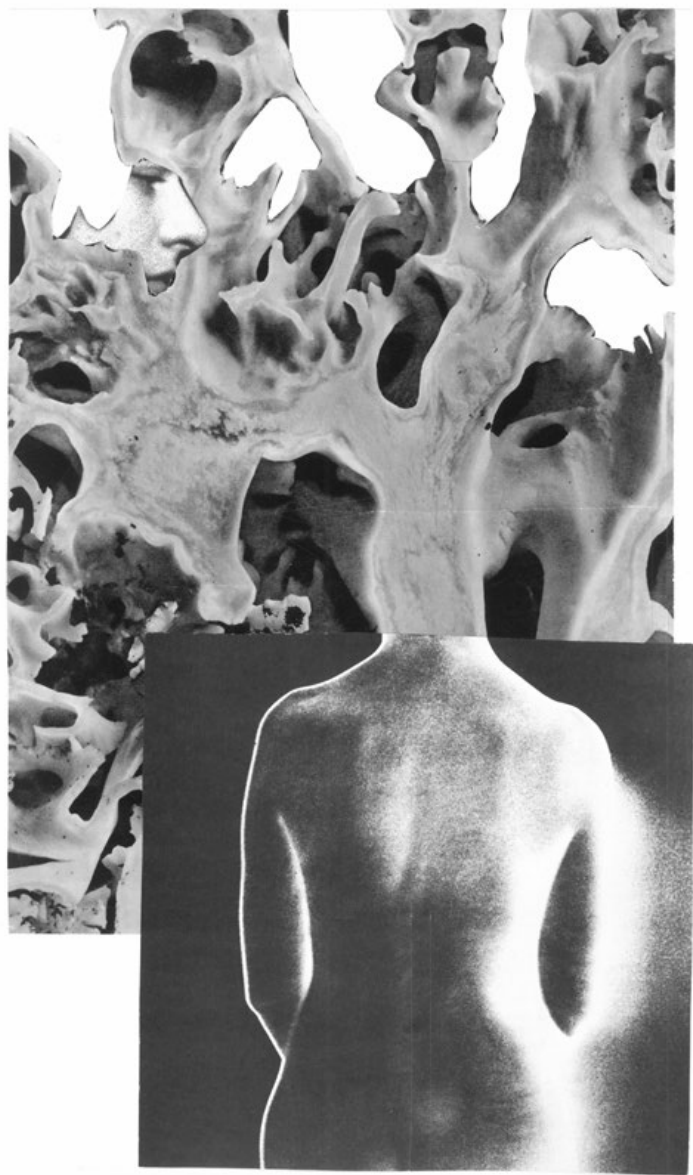
– Aby jeśli ktoś raz pozwolił mnie skrzydlatemu odejść,

Nie mógł mnie później łatwo pochwycić, łąpiąc za włosy.

Adalberg w swoim zbiorze zamieścił raptem kilka przysłów ze słowem „okazja”, w większości niezbyt pochlebnych: „Okazja prędko zepsuje”, „Próżnowanie okazją do złego”, „Skoro się poda do zemsty okazja, nie pomoże zgoda”.

Na szczęście znajduje się wśród nich pewna paremia dająca nadzieję: „Jak złym, tak dobrym okazja czyni”. I tego się trzymajmy.

MARIA GONTA Z DOMU KIELAK: gorzowianka z kresowymi korzeniami. Kolekcjonerka rodzinnych opowieści. Fotopstrykacz i pasjonatka podróży do miejsc nieoczywistych, które opisuje na portalach społecznościowych i blogach (Gontowiec Podróżny). Część jej tekstów ukazała się w kwartalnikach Wydawnictwa Demart z serii *Polska Niezwykła* oraz w kwartalnikach tego samego wydawnictwa z lat 2012-2013: *Kierunek zachód. Lubuskie dla niewtajemniczonych*, *Podlaski smak Orientu. Szlak tatarski*, *Bezkrzes Połonin. Bieszczady*, *Tajemniczy ogród. Odkrywamy zielone Roztocze*, *Szlakiem winorośli*, *Śladami cystersów*.



OKAZJA! OKAZJA!

Janina Jurgowiak

Jaka? Gdzie? Na słowo „okazja” reagujemy natychmiast i od razu łączymy je z handlem. Okazją jest kupić tanio, sprzedać korzystnie. Ciekawe, nikt nie mówi, że sprzedać drogo. Korzystnie – to odpowiednie słowo. Okazją jest kupić na aukcji meble, dobry obraz, zegar, nawet bibelot – jeśli piękny i z cenionego tworzywa lub inny przedmiot o wartości historycznej, sentymentalnej albo innej, która by uzasadniała zakup. Tymczasem słowo to tak się spauperyzowało, że dziś chyba wszystko można kupić okazjijnie: dom, fortepian, hulajnogę i owoce. Mówimy: kupiłam, bo była okazja, obniżyli cenę. Ludzie lubią korzystać z okazji. Było tanie, to się przyda, bo podróżeje, będzie na potem, wpadło mi w oko, zobaczysz, kiedyś będzie jak znalazł. I tak rośnie pożywka dla moli, rodzina je nieświeże produkty, mąż pyta, jak się tym narzędziem posłużyć, a żona, że ładne, ale za ciasne. Ludzie niezadowoleni, mieszkanie zagracone. Czy okazje zakupowe się opłacają i czy warto z nich korzystać? Trzeba się zastanowić, a tu czas goni, wykupią albo wycofają się z oferty i okazja przejdzie koło nosa. Pośpiech działa na szkodę, zwlekanie też. Jednak lepiej się zastanowić. Czy warto kupić, bo tanie, ładne i „wszyscy” kupowali? Po co komu trzy pary butów, bo druga para kosztuje połowę ceny pierwszej pary, a trzecia tylko złotówkę? Jeśli jednak trzech panów umówi się, kupią trzy pary na jeden rachunek, a potem się rozliczą, to jest okazja. Mała, bo mała, ale okazja. Chciwość wygrywa z rozumem. Oto niektóre osoby zrobiły sobie z pogoni za okazjami zawody. Jeżdżą po mieście i porównują ceny. Ustalają. Ogórki lepiej tu, a pieczywo tam, warzywa to tylko w Lidlu, wędliny zaś w Biedronce, jakość dobra i cena dobra. Po co ta gonitwa? Argumentują: „Grosz do grosza...” i będą dwa grosze – podpowiadam. Ale to tylko złotówka! Jak nie kupić? Pewnie, lepiej wyrzucić złotówkę niż bochenek spleśniałego chleba, ale można inaczej. Można nie rzucać się na przeceniony produkt, co dla zmylenia kupujących nazywa się promocją.

Ludzie, opamiętajcie się, to nie są okazje. Okazje to zakup dóbr trwałych, służących rozwojowi, to wyjazd na wycieczkę, zakup biletów na imprezę kulturalną, podróże nawet niedalekie, ale połączone ze zwiedzaniem, poznawaniem, odpoczynkiem. Wyjeżdżasz do Krakowa, Warszawy, Poznania, Paryża czy gdziekolwiek, to nie ograniczaj się jedynie do chodzenia po ulicach i robienia zdjęć. To też jest dobre, ale to za mało. Idź do muzeum, kina, teatru. Poczytaj, czyj to pomnik, kogo przedstawia i czym się on zasłużył dla kraju. Jesteś w Krakowie – to koniecznie Wawel, w Warszawie... trudno wybrać – tyle tu tego jest. Najskromniej to Stare Miasto i Muzeum Warszawy. Reszta zależy od czasu pobytu i zasobności kieszeni, ale koniecznie wybrać.

Okazja może się zdarzyć na miejscu, u nas, ale z tych okazji mieszkańcy naszego miasta korzystają w pełni. Spotkania w Bibliotece (wielkiej litery użyłam świadomie), w klubie Jedyńka, w Muzeum zawsze odbywają się w pełnym komplecie. Gdyby tak odwiedziła nas Olga Tokarczuk, to dopiero byłaby okazja!

Teraz już nie wyruszę do Madrytu i nie zobaczę Prado ani w Barcelonie architektury Gaudiego, kościoła Santa Familia. Za daleko, za gorąco, muszę poprzestać na drobniejszych zdarzeniach.

Życzę wielu wielkich, wspianiałych okazji do wykorzystania wszystkim miłośnikom „Pegaza Lubuskiego”.

JANINA JURGOWIAK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopismach i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*.



WIERSZE

Edyta Plucińska

prawda jest tym co sobie uświadamiasz

prawda zmienia się
wraz ze zmieniającą się świadomością

kłócić się o rację
to okazja

do poszerzenia świadomości
o czyjaś prawdę

12.2024

praktykować życie

to doświadczać
pełnego wymiaru
chwili

podziwiać ją
podczas
światowej wystawy dzieł

artysty
o imieniu

ja

12.2024

twórcza świadomość
nie znosi konieczności

jest okazją
dla tworzenia odcieni

wtóruje wolności płam
nie poddaje gustom
tego co zrodziła

oddala
nieuniknione

12.2024

wiara to myśl
w moim umyśle

provokuje
uzdrawiające działanie
które uwalnia od strachu

bo
cierpienie jest wyborem
pomiędzy bólem a akceptacją
tego
co jest

wiara
to uśmierzenie lęku
przed chwilą

13.12.2024

ego karmi mnie
hołdem
ego składa mnie
jak puzzle

ego wspina mnie
po sukces
ego niesie mnie
jak sztandar
ego stawia mnie
na filar
ego gubi mnie

jak echo
gdy przestają krzyżeć

13.12.2024

wszystko to mój wybór

użyteczność
to kompas

korzyści
to mapa

emocje
to impuls

przekonania
to fundamenty

świadomość
to światło

17.12.2024

cichy sługa

ciało
wydaje się być
płótnem na którym
widać strukturę
bycia

pędzlem wydobywam
drzemiący spokój
głębię oddechu
koloryt uczuć

subtelne odbicia
w świetle nadają
blasku
pogłębiając cień

na krawędzi
znajduję
dziki las

idę
bez ciężaru
bez strachu
bez kontroli
trzymając w dłoni
miękki bijący bęben
niestrzeżonego serca

to odwaga
życia z otwartymi
ramionami

technika uwalniania

moje kroki to ślady na piasku
wypełnione znaczeniem
doświadczeń

każdy ślad to początek
melodii do
tańca z czasem

bycie w ruchu
otwiera drzwi
do obcych światów

zagubienie jest
ochroną
przed zniewoleniem

pozwalam sobie
na bycie inną niż wczoraj
na wątpliwości

jak wiatr
pchający żagle
w nowe horyzonty
na poszukiwania
pozwalam sobie istnieć
poza granicami

w pytaniach rodzi się wolność

16.01.2025

cel ekspresji

emocje wznoszą
jak fale w tęsknocie
za odzyskaniem głosu

oddychaj
gdy odślaniasz głębinę

ciemność spotyka się ze światłem
ciężar smutku rozplątuje ciszę
ulga wydobywa prawdę

myśli
co przybrały formę blizny
przyjęte z miłością
nie pozostawiają śladu

28.01.2025

EDYTA PLUCIŃSKA: gorzowianka, od ponad dwudziestu lat zawodowo zajmuje się uczeniem matematyki. Poezję zaczęła tworzyć już w szkole średniej. Od 2024 roku uczestniczka warsztatów literackich Padok Pegaza. Pasjonuje się też fotografią, rysunkiem intuicyjnym i rozwojem duchowym. Zbiór jej tekstów w 2024 roku był nominowany w konkursie na debiut czasopisma „Pro Libris”.

INFERNO

Zbigniew Witostawski

Z samego dna piekła, umorusany, wydzielający ostrą woń smoty i tego czegoś, czym tylko diabły cuchną, przyszedł mnie kusić.

Owszem, nie jestem święty, do niejednego można mnie namówić, czasem nawet namawiać nie trzeba. Jednak jego pokusy jakoś mi nie pasowały. Kusił więc i kusił, a ja nic.

– Słuchaj no, czarci pomocię – mówię wreszcie – wymyśl jakieś atrakcyjniejsze pokusy, mógłbym nawet podsunąć ci parę pomysłów, albo zostaw mnie w spokoju.

Westchnął ciężko i smrodliwie, otarł czarne krople potu z diabelskiego czoła. Ten nieostrożny ruch sprawił, że zsunęła się z niego piekielna maska kusiciela i zobaczyłem szarą twarz, łudząco podobną do twarzy zmęczonego starego człowieka. W przygaszonych źrenicach odbijało się zniechęcenie, gorycz, beznadzieja. To nie wysłannik Lucyfera stał przede mną, lecz starzec z bagażem zmarnowanego życia.

Poczęstowałem go papierosem. Paliliśmy w milczeniu. W szafce znalazłem napęczętą butelczynę. Od dawna czekała na jakąkolwiek okazję. Cóż więcej mogłem dla niego zrobić? Pierwszą kolejkę piliśmy w milczeniu. Po drugiej zaczęły się zwierzać.

– Tyram w tym piekle już czwarte stulecie. Ciągłe w terenie. Moja piekielnica mówi, że to i tak dobrze, bo bezrobocie duże, najlepsze fuchy stary swoim daje. Nie narzekam, bo jak mnie wywali z roboty, będę się mógł z daleka przy kotle pogrzać i tyle. A moja piekielnica na pewno mnie rzuci. Od szefów ciągle słyszę kuś skuteczniej, kuś skuteczniej, a pomocy żadnej. Dwieście lat z hakiem jak nie było żadnego szkolenia. Ludzie się zmieniają, a metody ciągle te same. Grzechów ubywa, nowych piekło nie wymyśla...

– Jak to ubywa? – przerwałem mu – chyba przybywa, ludzie przecież nie stają się coraz lepsi.

– Lepsi nie są, ale coraz lepsze wymówki znajdują. Co jeszcze sto lat temu grzechem ciężkim było, dziś lekce sobie ważą. Nie grzech to, powiadają, lecz choroba jeno. Nie odsądzać złoczyńcę od czci i wiary, ale leczyć go trzeba, a jak nieuleczalny – pozwolić na wszystko, wszak natura jego taka. No i ubyło sporo... A potem wszyscy ci, co to dobroczynnością nazywają swej własnej kabzy nabijanie i ci, co głosząc *pro publico* prywatę czynią. W glorii dobrych uczynków chodzą, a piekłu nijak dobrać się do nich. A już najgorsi, którzy w piekło nie wierzą, żarty sobie z niego czynią.

– Jak to? Przecież wszyscy oni grzeszą...

– Ot, widzisz, gdyby ludziska jak ty myśleli, piekło byłoby pełne, jeszcze by w poczekalni duszyczki czekać musiały. Tyś cztek starej daty, rozumiesz, co złe, co dobre. A tamtym, którzy wszeteczeństwa za zasługi sobie poczytują, nie można występku przypisywać, bo co czynią, bez świadomości grzechu czynią.

Butelczyna była pusta. Niestety nie miałem następnej. Aż tu diabeł sięga za pazuchę. Zdębiałem. Na taką whisky niewielu może sobie pozwolić.

– Dziwisz się? Nie chodzi się kusić z pustymi rękami.

– To jakby twoje narzędzie pracy?

– Jedno z wielu, jedno z wielu... Ale póki co, wypijmy.

Nalał hojną ręką, a mi zaświtała myśl niepokojąca.

– Czy ja cię dobrze zrozumiałem? Jeśli będę miał ochotę się napić i urznąć się do nieprzytomności, to zgrzeszę, bo przecież wiem, że pijaństwo na rękę jest piekłu. Ale, jeśli patrząc na tę tu butelczynę, powiem sobie, że jej czterdziestoletnia zawartość...

– Sześćdziesięcio...

– Jej sześćdziesięcioletnia zawartość jest lekiem na moje bóle pleców i nadużyję tej zawartości, to będzie w porządku, bo uczynię to w dobrej intencji?

– Twoje zdrowie. Masz rację. Prawie. W rzeczywistości ty w głębi duszy wiesz, jaka jest prawda i wiesz, że oszukujesz sam siebie. Byłoby inaczej, gdybyś był bezgranicznie przekonany o słuszności takiego sądu. Na przykład, gdyby taką kurację zalecił ci lekarz.

Nalał ponownie.

Dosyć tego. Kusi beznadziejnie. Wewnętrzne sprawy piekła wywleka. Jak kary unikać poucza. Służbowy trunek wypija. Wyjąłem z kieszeni identyfikator.

– Inspektor Rokicki, Wydział Indywidualnego Ferowania Not.

– No tak – zasępił się. – Słyszałem coś o InFerNo, alem sądził, że to bajanie tylko.

– Od sądenia to ja tu jestem. Cóż, łączną notę kiepsciutką ci wystawię. Właściwie to już możesz na dół wracać do czarnej roboty.

Posmutniał jeszcze bardziej, wstał, zapiął kaptotę, sięgnął po ledwo napęczą butelczynę.

Grzechem byłoby zmarnowanie takiej okazji.

– A nie, nie – zaprotestowałem. – Dowód rzeczowy zatrzymuję.

ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. I nagrody w IV Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

DZIK SALONOWY

Jerzy Hajduga

Dziki zwierzęta coraz częściej wychodzą z lasów i spacerują ulicami. Czytam o tym, słucham i oglądam w telewizji, aż w końcu i ja spotkałem dzika na deptaku małego miasteczka. Zwierzę okazało się towarzyskie na tyle, że postanowiło odwiedzić niejednego z salonów handlowych. Według relacji dwunożnych klientów, dzik najbardziej zainteresował się stoiskiem z kapeluszymi, skąd po jakimś czasie wyruszył do salonu kosmetycznego. Tam jednak ufne zwierzę spotkały nieprzewidziane skutki. Dzik został grzecznie zatrzymany i zamknięty w dziale obsługi klienta. Zachowywał się bardzo spokojnie, ba, chrząkał z umiarem i rozsądkiem. Zaproponowano mu maseczkę do twarzy, tonik i pomadkę ochronną do ust. Uciekł przerażony, że mu tę maseczkę siłą nałożą i jak potem pokaże się mieszkańcom swojej leśnej krainy. Cóż za kultura zniewieścienia. Trudno się dziwić, że zaczyna brakować prawdziwych dwunożnych mężczyzn.

Dzik zna starą legendę o sobie, jak to ptaki pierwszego dnia po stworzeniu zapragnęły mieć przyjaciół. Wtedy Bóg stworzył *różne rodzaje dzikich zwierząt, było i wszelkie zwierzętka naziemne*. Zwierzęta z radości zaczęły skakać i biegać. Ptaki były bardzo niezadowolone.

Dzik zdążył jeszcze dotrzeć, jakby to było jego celem, do Teatru Kottłownia w podziemiach kościoła. Trochę się pokręcił po scenie, zdjął kapelusz i usiadł na widowni. Mimo cywilizowanego zachowania, zwierzę w drodze powrotnej do swojej leśnej krainy zostało uspijone i przetransportowane do schroniska. Część dwunożnych świadków, doceniając postawę roztropnego i kulturalnego dzika, dziwiło się takiej decyzji. Wszyscy zażądali powrotu zwierzęcia ze schroniska i przywrócenia mu stanowiska dzika salonowego. Też jestem za. Pod tym pomysłem podpisuję się prawą łapą.

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpocząć od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwilę* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022). Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

NIC NIE STOI NA PRZESZKODZIE

Agnieszka Zatylna

Demoralizacja, ot co! Tak podsumowała temat moja babcia, kiedy rodzice poprosili ją o radę w sprawie wyboru między zakupem video a najlepiej sprzedającym się w latach 80. mikrokomputerem Commodore 64. Ależ to była okazja! Fartowna sąsiedzka oferta prosto z Zachodu, z której w konsekwencji, a przede wszystkim ze strachu przed łatwym dostępem do nieodpowiednich treści, nie dane nam było tak szybko skorzystać.

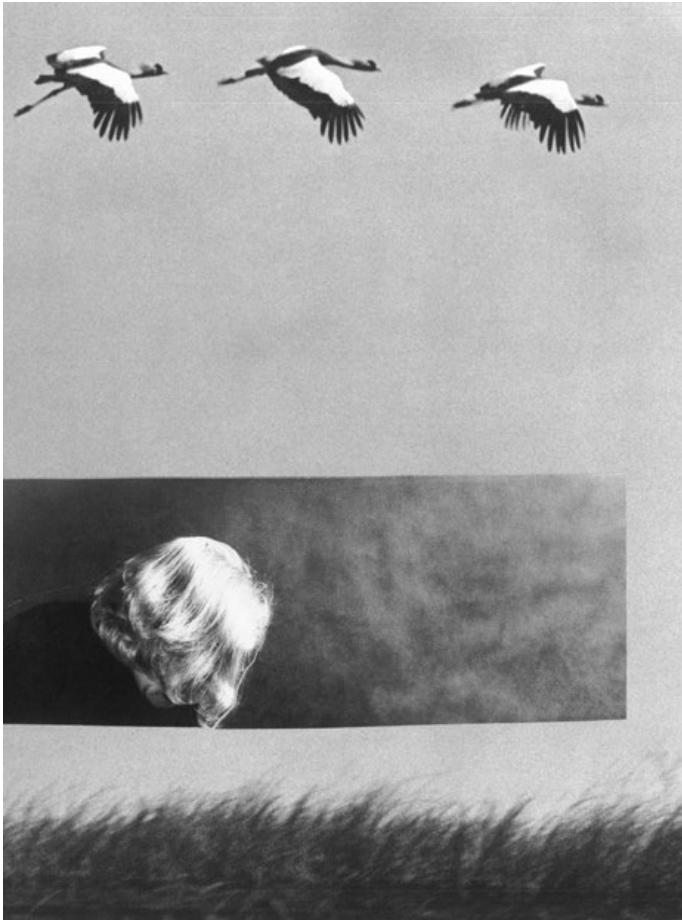
Czymże były te owiane tajemnicą dorosłych zasoby, przed którymi nas chroniono, nawet nieszczególnie mnie interesowało. Byłam stałym bywalcem biblioteki szkolnej, z czasem wojewódzkiej, naukowej oraz najbliższej księżnicy. Z dumą zerktałam na moją kartę czytelniczą z dopisaną ołówkiem adnotacją „dużo czyta”. To pozwalało mi na dobrym poziomie przygotować się do zajęć, ale też zaspokajać potrzebę samorozwoju i pasji. Strzeżoną zaś z pokolenia na pokolenie tajemną wiedzę, jak choćby przepis na pączki na dziesięciu żółtkach z cynamonem czy rosół gotowany bez pokrywki, miałam skrzętnie zapisaną w szytym, opasłym brulionie. Czułam się wybrańcem, powiernicą rodzinnych sekretów, dojrzałą i odpowiedzialną na tyle, aby je zachować i przekazać dalej.

Na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza byłam zarówno świadkiem, jak i uczestnikiem niezwykłej przemiany, postępującej w zawrotnym tempie cyfryzacji, która pozwoliła nam na dostęp do naukowych zasobów całego świata. Jakież śmieszne wydaje się teraz moje doświadczenie, które można zdobyć, nawet pomijając pole edycyjne i nie wpisując hasła w wyszukiwarkę. Wystarczy w dowolnym języku przedstawić systemowi głosowe polecenie, aby uzyskać precyzyjną i przydatną odpowiedź. Korzystam, oczywiście, że tak! Mam ogromny apetyt na wiedzę, a jedynym ograniczeniem jest czas. Jestem wdzięczna, że żyję w czasach, w których mimo braku rzetelności niektórych źródeł świadomy odbiorca może je szybko zweryfikować i porównać. Dzięki bezgranicznym możliwościom w ciągu kilku minut mogłam znaleźć się przy ulicy Santa Anna numer 27, o czym marzyłam, czytając *Cień wiatru* Carlosa Ruiza Zafóna. Mogłam odbyć wirtualny spacer po amsterdamskim Rijksmuseum, słuchając, jak sam dyrektor Taco Dibbits prezentuje przepętnioną niezwykłym spokojem *Mleczarkę* Vermeera.

I wydawać by się mogło, że szeroko pojęty internet stworzył nam nieograniczony dostęp do wiedzy zarezerwowanej niegdyś dla nielicznych. Odnoszę jednak wrażenie, że przede wszystkim stał się sposobnością do obserwowania cudzego nieszczęścia, okazją do wyładowania narastającej w nas frustracji, na które nie pozwolono by sobie twarzą w twarz. Im bardziej jesteśmy aktywni, tym większe prawdopodobieństwo natknięcia się na przemocowe, wulgarne treści.

Z ciekawości obrazu społeczeństwa, ale też z przerażeniem czytam czasem komentarze na dowolnie zadane pytanie, bezkrytyczne uwagi na temat jego celowości i nic niewnoszące uszczypliwe, polityczne odniesienia. Szalejąca i bezkarna anonimowość. Czyżby babunia miała rację?

AGNIESZKA ZATYLNA: polonistka, bibliotekarka, arteterapeutka. Na co dzień szuka niekonwencjonalnych pomysłów, aby zachęcić uczniów do rozpoczęcia przygody z czytaniem. Te działania zostały wyróżnione: dwukrotnie przez fundację ABCXXI Cała Polska czyta dzieciom oraz nagrodą Małego Zwyrtały na Międzynarodowym Festiwalu Literatury dla Dzieci w Rabce.



WIERSZE**TOMASZ KORBANEK****Nic więcej**

Pozwól mi podejść, schować
dłoń
w twojej,
dystans nie zawsze
bywa bezpieczny,
zamyka w nas wszystkie
okna i drzwi, wzmaga
nieufność
oka Judasza,
podaj mi rękę – to nie wyścigi,
bieg z przeszkodami i sporty
walki,
nikt z nas nie przegra;
położę tylko
skroń na ramieniu, wtopię się
w ciepło
słów i oddechu,
w twoją obecność.

Spróbujmy złamać
szyfr samotności,
pokonać dystans.

Mijanie

Żółtknie listopad,
czmycha z pośpiechem
kota dachowca,
kłębi się w mrokach nocy,
niemodne wczoraj
przebiera się w jutro,
szykuje się do występu,
jestem tu gościem,
twarzą zza okna
albo z widowni
jedną z tysięcy
błędnych w skupieniu;
znam zakończenie,
mimo to czekam
na zwroty akcji,
finał finałów, moje katharsis,
z pozycji widza
chłonę obrazy
aż do ostatniej sceny rozstania
wystukiwanej
nieubłaganą
strzałką wskazówki,
znam zakończenie
i znowu wracam
do ulubionych
miejsc, epizodów,
przewijam taśmę,
za kurtynami
zaśton z atłasu
marzę na jawie.

Tli się listopad
w zarzewiach
żrenic.

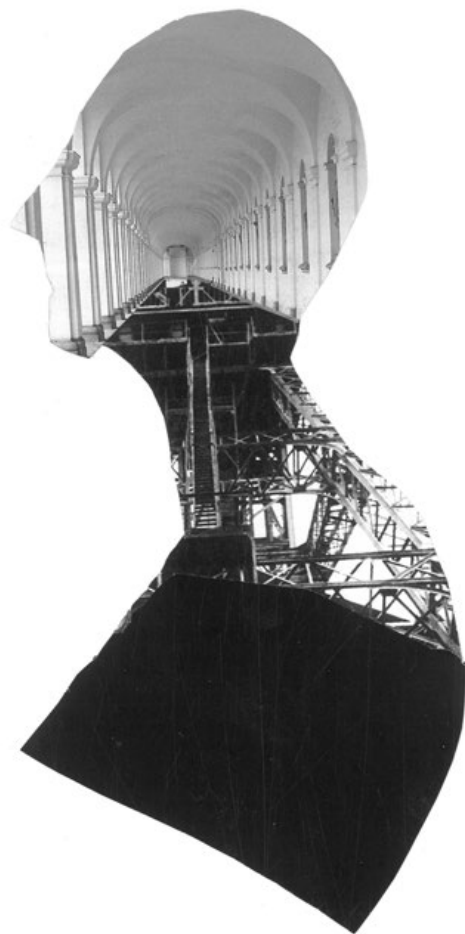
30.11.2024 r.

Jesienni

Jesienimy się w ciszy,
spacerujemy
skrajem szarości
lepiej od mgieł
z nostalgią w oczach
aż deszcz pogasi
znicze na grobach,
zmyje złudzenia, roztopi granit,
zetrze litery, imiona, daty.

Jesienimy się, patrząc
w dal bez powrotu,
dobrze nam z sobą.

TOMASZ KORBANEK: gorzowianin, poeta. Debiutował w 2010 roku w antologii *Słowa rodzą wiersz*. Debiut książkowy to tomik *Krajobraz z brzozą* wydany przez ZLP w *Portfelu Poetów Okrągłego Stołu*. W 2024 roku, w serii „Biblioteka Pegaza Lubuskiego”, ukazał się jego tomik poezji *Szkice na marginesach*.



OKAZJA MATKĄ GŁUPICH

Olga Smolec-Kmoch

Urodziłam się w sobotę w środku najbardziej upalnego kwietnia, jaki pamiętały moi bliscy. Tak przynajmniej mówiła mi babcia, kiedy ją zapytałam kiedyś o ten dzień. Pytanie to nie zrodziło się w mojej głowie z ciekawości powodowanej brakiem poczucia przynależności. To było zadanie domowe. Byłam w czwartej klasie i – do dziś nie wiem dlaczego – musieliśmy napisać krótkie wypracowanie na temat „Moje narodziny”.

Babcia wymamrotała mi tę opowieść, wykręcając przy tym w nienaturalnie złym grymasie usta. Słuchałam, żeby napisać prawdę, sama przecież nie pamiętałam tego dnia. Zdałam się na wspomnienia babci.

W mojej głowie pojawiły się jakieś przebłytski dziwnej świadomości. Czułam, że nie wszystko było tak, jak być powinno. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu lekcja, podczas której odczytywaliśmy nasze zadania domowe. Jako pierwszy zgłosił się do przeczytania nasz klasowy prymus, Maciej. Zaczął od słów: „Byłem bardzo wyczekiwany dzieckiem, więc rodzice kochali mnie już wtedy, kiedy byłem w brzuchu mamy”. Czytał długo, a ja gapiłam się w okno. Siedziałam w ostatniej ławce, sama, bo nikt nie chciał siedzieć ze mną. No i gapiłam się w to wielkie okno, obserwując jadące po drodze auta, ludzi niespiesznie idących donikąd i ptaki, które latały tak nisko, jakby chciały podejrzeć nas, uczniów klasy 4B, przez szyby.

Ocknęłam się, kiedy na środek wyszła Amelia. „Urodziłam się siódmego lipca, w momencie, kiedy słońce było w zenicie i przypiekało na plaży nosy wczasowiczów. Mama mówi, że dzieci urodzone w ciepłe dni są weselsze”. Czytała i czytała, a ja zatrzymałam wzrok na jej nosie. Ogromnym i krzywym. Był nieproporcjonalnie wielki w stosunku do jej małej głowy. A może głowa wcale nie była mała, tylko nos wielgachny? Gdyby nie ten nos, to byłaby całkiem fajnym materiałem na koleżankę. Nos. Kiedy czasem przychodziła do mnie, żeby spisać przyrodę, nie mogłam się skupić na rozmowie z nią. Czułam się, jakbym rozmawiała z nosem, na którego końcu tkwi mały człowiek.

Lekcja mijają, swoje historie przeczytali już Maciej, Amelia, Antek, Asia spod cmentarza, Baśka i Asia, co mieszkała obok poczty.

„Rodzice na mnie czekali”.

„Wszyscy mnie kochali”.

„Tata był przy moich narodzinach”.

„Cała rodzina się ucieszyła, kiedy się urodziłam”.

„Mój brat marzył o siostrze”.

Potem pani wywołała do tablicy mnie. Trochę się wystraszyłam, bo wiedziałam, że moje wypracowanie nie będzie tak ładne jak innych dzieci. Język polski nie był moim ulubionym przedmiotem. Wolałam przyrodę. Chciałam zostać weterynarzem.

Podniosłam się z krzesła, pochwyciłam zeszyt koloru nieba i noga za nogą kierowałam się ku środkowi klasy. Nie lubiłam tam stać. Nie lubiłam nigdy być w centrum uwagi. Nie lubiłam, kiedy ktoś na mnie patrzył.

Całe życie byłam niewidzialna i takie momenty w szkole przewracały do góry nogami mój z dziecięcym trudem budowany ład wewnątrz mojej głowy. A do góry nogami wcale nie jest fajnie. Próbowалам kiedyś powiesić tak dłużej na trzepaku. Bolało mnie wszystko. A potem oprócz bólu zalała mnie fala wstydu, bo kiedy tak wisiалам, na oceanie przyszkolnego podwórka pojawiła się piratka Kryśka, przyjaciółka babci, która pognąła, by opowiedzieć jej o tym, co robię. W domu dowiedziałam się, że dlatego jestem taka głupia, bo pewnie za często wiszę głową w dół i krew zalała mi cały mózg. Nie do końca wtedy wszystko rozumiałam, więc może babcia miała rację? Na szczęście umiałam coraz lepiej wtapiać się w otoczenie i stawać się niewidzialną. Rano wstawałam sama, robiłam sobie śniadanie i kanapki do szkoły, potem sama szłam do szkoły i sama z niej wracałam. Z obiadem bywało różnie. Czasem babcia zostawiała coś w garnku, a kiedyś powiedziała, żebym brała, jak jest. Ale często nie było, więc sama sobie coś przygotowywałam. Dobrze wychodziły mi naleśniki z cukrem i placki ziemniaczane. Też z cukrem. Po obiedzie sama odrabiałam lekcje. Zajmowało mi to dużo czasu, bo niektóre rzeczy musiałam czytać po kilka razy, zanim rozumiałam. Nie miał mi kto wytłumaczyć, a w szkole wstydziłam się zapytać, bo babcia kiedyś, kiedy poprosiłam ją o pomoc, powiedziała: „Po co ci ta szkoła, i tak nic nie osiągniesz”. Radziłam sobie więc sama. Po odrabianiu lekcji czasem popatrzyłam w telewizor, ale nie miałyśmy z babcią żadnego kanału z bajkami. Lubiłam oglądać programy o zwierzętach. Pani, która o nich opowiadała, miała taki kojący głos. Kojarzył mi się z mamą. Wieczorem szybko się myłam, bo woda była zimna. Kąpiele w ciepłej wodzie były tylko w soboty. I to nie w każdą. Lubiłam się kąpać w ciepłej wodzie. Po myciu zazwyczaj szłam do swojego pokoju, czytałam książki, które przynosiłam z biblioteki. Przeżywałam przygody razem z ich bohaterami, by potem widzieć je w snach. Potem rano wstawałam sama, robiłam sobie śniadanie...

Stanęłam na środku klasy. Wyprostowałam się, spojrzałam na nauczycielkę, która skinęła głową z włosami białymi jak śnieg. Moje dłonie zostawiały pod palcami mokry ślad na okładce zeszytu. Otworzyłam go, ale litery drobno zapisane między szerokimi liniami zaczęły mi wirować przed oczami. Szybko zamknęłam zeszyt i zaczęłam mrugać w nienaturalnym tempie. Nauczycielka chrząknęła i zapytała, czy dobrze się czuję. Skłamałam.

Robiłam to często. Kłamstwo ułatwiało życie, bo nie prowokowało kolejnych pytań.

„Dobrze się czujesz? – Tak”.

„Jesteś głodna? – Nie”.

„Kochasz babcię? – Tak”.

„Tęsknisz za kimś? – Nie”.

„O czym marzysz? – O niczym”.

„Kim jesteś? – Ładną i mądrą dziewczynką”.

Po żadnej z podanych odpowiedzi nikt o nic nie dopytywał. Stawałam się niewidzialna.

Nauczycielka poprosiła mnie, skoro dobrze się czułam, żebym przeczytała swoje wypracowanie, bo przydałaby mi się dobra ocena do podniesienia średniej ocen z języka polskiego. Mówiła, że wie, że zasługuję na wyższą, ale rzadko daje sobie szansę na pokazanie tego. Próbowiła mnie pokrzepić. Doceniałam te starania, więc postanowiłam wziąć się w garść i zaczęłam czytać:

„Urodziłam się w sobotę w środku najbardziej upalnego kwietnia, jaki pamiętali moi bliscy. Kilka dni po Wielkanocy. Wszyscy czekali już na majówkę, bo zapowiadała się w tym roku na wyjątkowo długą. *W marketach królowały jednorazowe grille, podpatki i karkówki w dziwnych smakach marynat. Promocje na piwo osiem plus osiem kusity spragnionych* – to nie są moje słowa, znalazłam je kiedyś w jakimś wpisie na Facebooku i sobie zapamiętałam, bo brzmiało tak poetycko. Pasowało do dnia, kiedy się urodziłam.

Moja mama, Agnieszka, trafiła do szpitala w środku nocy. Okazało się, że poród był już w zaawansowanej fazie, więc urodziłam się przed śniadaniem. Niestety mama śniadania nie zdążyła dostać. Była na mnie trochę zła, chyba nie tylko za to śniadanie. Na szczęście dość szybko przyszła do niej babcia i przyniosła tulipany. Kiedy mnie zobaczyła, powiedziała: *O, jaka śliczna, podobna do ciebie, córuś...* Moja mama się skrzywiła i zapytała tylko: *Gdzie Marcin?* Muszę dodać, że Marcin to był człowiek, który mnie splotdził, tak mówiła babcia, kiedy używałam słowa *tato*, pytając o niego.

Agnieszka i Marcin. Babcia mówiła, że byli dziećmiakami i nie dorośli do mnie. Ustyszałam, jak kiedyś mówiła do pani Krysi, że Marcin skorzystał z okazji i że byłam wpadką. Najpierw pomyślałam, że chodziło o wypadek i się nieco wystraszyłam, bo – jak wiadomo – wypadki to nic dobrego. Ale chodziło o wpadkę. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale kilka dni później moje ucho wychwyciło, jak w telewizji, w zapowiedzi przed jakimś serialem, który oglądała babcia, mówili, że na koniec tego odcinka pokażą wpadki, jakie się wydarzyły podczas kręcenia serialu. Byłam ciekawa, żeby w końcu poznać znaczenie tego słowa, więc wyjątkowo obejrzałam ten odcinek z babcią. Okazało się, że wpadki to coś śmiesznego – kiedy je pokazywali, wszyscy się śmiali, łącznie z moją babcią przed telewizorem. Poczuję się szczęśliwa, wpadka to coś, co wywołuje uśmiech.

Ale wracając do dnia moich narodzin. Taty nigdzie nie było, więc mama była zła. Babcia głaaskała po rękach to mnie, to mamę, i mówiła: *Ciesz się, córuś, z wnuczki. Pamiętaj, że jeśli trzeba będzie to wam pomogę, ale pamiętaj też, że*

mam swoje ograniczenia. Moja choroba będzie postępować, nie wiem, czy... Wtedy moja mama się zdenerwowała jeszcze bardziej i powiedziała, że to już nie jej problem. Babcia nie wiedziała, o co chodzi. Wróciła do domu, gdzie szykowała dla mnie coś, co się nazywa wyprawką. Były tam kocyki, poduszeczki, zabawki, ubranka dla mnie. Były różowe i w stoniki. Znalazła się też różowa torba pełna kosmetyków przeznaczonych do delikatnej skóry niemowląt. Tak, w tamtym okresie nie byłam dzieckiem, byłam niemowlakiem.

Resztę dnia spędziłam z mamą w szpitalu. Po sali kręciło się dużo osób – lekarzy, pielęgniarek, członków rodzin odwiedzających inne pacjentki i ich dzieci, dumnych ojców i wzruszonych dziadków.

Po trzech dniach wróciliśmy do domu, do babci. Okazało się po kilku kolejnych dniach, że nikt mnie nie chciał. Marcin już się nie pojawił, a Agnieszka skorzystała z okazji pracy za granicą i zostawiła mnie u babci. Po jedenastu latach wiem, że już na zawsze”.

OLGA SMOLEC-KMOCH: rocznik '85. Od dawna pracująca słowem, od niedawna właścicielka Wydawnictwa Na Szczęście, od zawsze mól książkowy próbujący swoich sił pisarskich w krótkich formach. Członkini Nieformalnej Grupy Literackiej Płóczkowe Dziewczęta, z którymi wydała cztery tomiki opowiadań. Mieszkanka Gorzowa, szczerze dostrzegająca jego głęboko ukryte piękno.

OKAZJE**Aneta Długołęcka****chtód**

obojętność
boli bardziej
zaskoczona patrzy
jak serce kruszeje
bez miłego słowa
gestu dotyku
łatwiej znieść złość
czy stawić czoło nienawiści
to gorące uczucia
o czymś świadczą
brak emocji
nie wróży dobrze

mieszkanie

pokój kuchnia łazienka
wszystko za małe
na dwie osoby
by przejść bez zaczepki
oczy nie mają
gdzie uciekać
łzom
brak samotności

matżeństwo

umierało wiele lat
od raka toczącego serce
nie było miejsca
na rozczulanie
czy inne słabostki
momentami jeszcze żyli
pamięcią dawnych lat
to w końcu też odeszło
pozostała pustka
której nie było
czym zapetnić

już

uwalnia się
z jego oczekiwań
jedno po drugim
spadają na podłogę
zrzuca balast
niepochlebnych
spojrzeń
przeżyka ostre słowa
przeżuwa
i trawi

przymyka oczy
wizualizuje przyszłość

mentalnie rozwiedziona

obrączka od dawna blokuje
miejsce w szkatułce
on tego nie zauważył
dalej świeci złotem
na serdecznym palcu
choć słucha
wielokrotnie tych samych słów
nie przyswaja
nieświadomy
rozsypującego się domku z kart
jeszcze próbuje grać
lecz brak synchronizacji
i wspólnych scen

najtrudniejszy pierwszy krok

wiele lat życia
na pustyni
trudno wyjść
poszukać wody
widok piachu zamienić
na zielone

przyzwyczajenie to okropny wyraz

można przyzwyczać się
do monologu z nie pustymi ścianami
do ciszy kłującej pod żebrami
do braku zrozumienia w drugich oczach
do bójących słów jak smagnięcie biczem
do obojętności na kaskady łez

lub
można nawyknąć
do ciepłych dialogów w ulubionych kolorach
do łzy w innych oczach bo ciebie coś boli
do poruszenia w dotyku
do obecności gdy jej potrzebujesz

sam wybierz
co wolisz

na zimno

pisze wniosek
rozwodowy
bez tabletek
bez kropel smutku
pisze teraz
a jakby już dawno
się dokonało
pilnuje ortografii gramatyki
ogólnego sensu
czy to pismo jej dotyczy?

po wypowiedzce

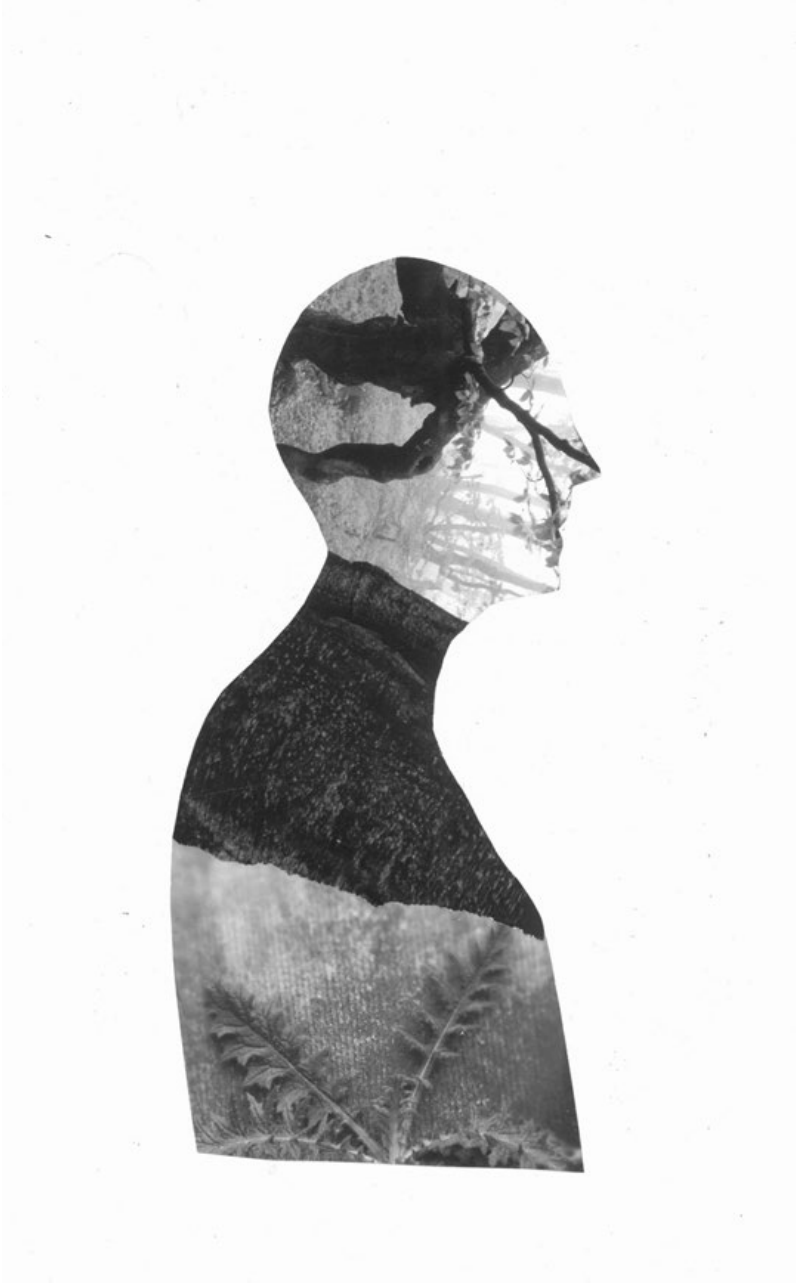
myślała
będzie krzyżeć
włosy rwać
do pracy pójdzie
nieprzytomna z bólu
wleje kilka kaw
zanim wróci
do nowych obcych ścian
okupionych zbyt drogo
myślała
samotność nie dla niej
zbyt wiele czasu
trzeba czymś zabić
nie siedzieć
w nie swoich pokojach
jakoś przeczekać tydzień
na powrót syna

źle myślała

ostatnia szansa

korzenie zgnity
jedyna gałąź rośnie
w niekorzystnych warunkach
czas na zmianę
by zakwitła
w pełni wykorzystata
swój czas

ANETA DŁUGOŁĘCKA: poetka i fotografka. Gorzowianka z wykształceniem ekonomicznym. Związana z RSTK i nieformalną grupą fotograficzną fCzasowicze. Debiutowała w 2011 roku w „Pegazie Lubuskim”. W 2014 roku, w ramach *Portfela z wierszami Poetów Okrągego Stołu* ukazał się jej tomik *Historia jednej znajomości*. W 2024 roku w Bibliotece Pegaza Lubuskiego wydała tomik poezji *Pierwszy tatuaż*.



WIĘCEJ OKAZJI NIE BĘDZIE

Magdalena Kubacka

Przypominanie jest bolesne.

Dotkliwsze niepamiętanie.

Znalazłam wczoraj starą lutownicę. Żółty, niepozorny pistolecik z metalową końcówką, który w rękach mojego ojca był jak czarodziejska różdżka. Trzymaliśmy go w kuchni, w dużej szafce, tuż za reklamówką na reklamówki. W mniejszej szufladzie leżała kalafonia, jeszcze z czasów, gdy po zobaczeniu Vanessy Mae w telewizji zapragnęłam zostać wielką skrzypaczką. Mały, bursztynowy kamyczek szybko przestał służyć do nacierania smyczka. Straszny, ogromny nauczyciel o zerowej cierpliwości na długie lata skutecznie obrzydził mi granie.

Za to nic nie było w stanie powstrzymać mnie przed obserwowaniem ojca lutującego kable.

Jest coś, co mnie z nim łączyło – oboje uwielbialiśmy wiedzieć, w jaki sposób coś jest zrobione. Ja z czystej dziecięcej ciekawości. On? Może też po to, by dowiedzieć się, jak to później naprawić. Podobało mi się, że umie naprawiać rzeczy i lubiłam się temu przyglądać. Siadałam na taborecie z popękany szarym obiciem – miał mniej więcej tyle samo lat, co ja – na którym siadam do dziś, bo co jak co, niektórych taboretów nie da się po prostu wyrzucić, jeśli da się na nich jeszcze usiąść. Opierałam ręce o ten sam szary stół, brodę o te same, bo przecież moje, ramiona. Przez chwilę byłam tylko ja, on i miarowe stukanie włącznika lutownicy przy słabym świetle kuchennej lampy.

O czym wtedy rozmawialiśmy? Czy opowiadałam mu o tym, co wydarzyło się w szkole? O układaniu klocków z braćmi? O zabawach wymyślanych z przyjaciółmi?

O czym mówił mi on?

O czym siedmioletniemu dziecku mógł opowiadać zmęczony pracą na trzy zmiany ojciec?

Czy temat rozmowy miał wtedy jakieś znaczenie?

Czy może, tak bardzo jak ja, po prostu desperacko pragnął, żeby kabelki lutowały się wolniej, żebyśmy mogli posiedzieć ze sobą jeszcze chwilę dłużej?

Nie miałam pojęcia, o czym jest jego praca dyplomowa. Mimo to siadałam przed komputerem, dzień w dzień stukając w klawiaturę, przepisując strony zapisane

jego pięknym, ozdobnym i ledwie czytelnym pismem. Dokument puchł od kolejnych mądrych zdań o samochodach napędzanych wodorem. Myślę, że nie było na świecie drugiej takiej jedenastolatki, która wiedziałaaby w tym temacie więcej ode mnie. Może nawet umiałabym przegadać dorosłego. Co wcale nie było takie trudne – niepowstrzymany potok słów zawsze wywoływał u dorosłych konsternację.

Wygadana. Mądra na swój wiek. Pewnie jesteś dumny z takiej córki.

Pewnie był. Nie pamiętam.

Pamiętam za to białą klawiaturę z wysokimi klawiszami, równie biały monitor i myszkę z kulką, która zacinąca się zawsze wtedy, kiedy była najbardziej potrzebna. Pamiętam wykresy, stół w salonie zastawiony papierem kreślarskim, kolegę taty, który pokazywał mi, jak powinien wyglądać rysunek techniczny, granatową okładkę z dumnym napisem „praca dyplomowa”. Tatę w równie granatowym, zdecydowanie za dużym garniturze śmiejącego się w głos i pachnącego alkoholem. Szczęśliwego, że jego praca – moje stukanie w klawiaturę – obronione! Na 6!

Puchłam z dumy.

Jego osiągnięcie, moje klikanie.

Jego sukces, moje towarzyszenie.

Siedział w fotelu przy drzwiach, w dłoniach trzymał spletaną żytkę. W kuchni gotowała się śmierdząca pszenica.

Siedziałam na dywanie, oglądając prześliczne kolorowe wabiki z plastikowymi piórkami. Sortowałam haczyki – osobno złote i srebrne, osobno duże i małe.

Uważaj, nie skalecz się.

Oczywiście, że się skaleczyłam. Ale nie bolało.

Nie chciał mnie zabrać na ryby – to bolało.

Nie ma tam nic ciekawego, tylko będziesz się nudzić.

Ale ja się uparłam. Zwijając niemal przezroczystą żytkę, zażądałam zabrania mnie na ryby. Pobudka o piątej rano? Dam radę. Siedzenie w jednym miejscu? Wysiedzę. Mogę nawet pomóc wyławiać obrzydliwe, oślizgłe i niedobre w smaku płotki.

Nie miał wyjścia, musiał się zgodzić. Gotowa byłam wpaść w histerię i płakać do końca świata. Umiałam ptać do końca świata.

Poddał się. Zabrał mnie na ryby.

Pamiętam tylko wielką wodę, jeszcze większą trawę, a najwięcej z tego wszystkiego niekończącą się udrękę straszliwej nudy.

Godziny ciszy. Czekania. Niczego.

Czy to wtedy po raz pierwszy był mną zawiedziony? Czy chociaż trochę cieszył się, że byłam obok?

* * *

Matematykę kochałam bez wzajemności. Była to moja pierwsza – jak się potem okazało, jedna z wielu nieodwzajemnionych miłości. Rozwiązywanie zadań i zapisywanie rzędów cyferek często sprawiało mi wiele radości, dopóki nie okazywało się, że zarówno wynik, jak i metoda były całkowicie błędne.

Próbował mi pomóc. Bezskutecznie. Stał nade mną przyciśnięty do biurka, desperacko pragnącą, żeby już się nie złościł i żeby ten mój głupi mózg w końcu załapał, o co chodzi i gdzie popełniam błęd. Chciałam być mądra jak on. Chciałam nauczyć się dobrze liczyć. Chciałam, żeby ucieszył się, że nauczył mnie dobrze liczyć.

Oboje czerwoni na twarzy. Oboje z frustracji. Ja ze łzami kapiącymi na kartkę. On opuszczający mój pokój bez słowa. Nigdy nie wracający do tematu, ale niezadowolony za każdym razem, gdy widział złą ocenę na kartce od wychowawcy. Umiesz liczyć, licz na siebie.

Przestałam liczyć na niego. Tylko w kwestii matematyki.

* * *

Czekanie na niego pod sklepem przez wiele lat było moją ulubioną częścią dnia. Ilekroć kończyłam lekcje o 15:05, ubierałam się powoli, wkładałam plecak, który, przysięgam, czasem wydawał się być większy ode mnie, i powolutku czapałam do znajdującego się nieopodal marketu. Stawałam tuż za przejściem dla pieszych albo gdzieś w okolicy pierwszych miejsc parkingowych i obserwowałam nadjeżdżające samochody w nadziei, że tym razem będzie to fiat panda, fiat Siena, fiat stilo. Wyraz upartości i lojalności wobec ulubionej marki.

Czy ta zbliżająca się plamka to już on? Czy jak zwykle zadzwoni do mamy i będzie miał do kupienia dziesięć butek, ser morski, krążki – tak mama nazywała wędliny – i mleko? Może tym razem będzie musiał kupić coś jeszcze? Ciekawe co? I czy dzisiaj też zapyta kasjerki: ile i czemu tak drogo? Czy zapyta mnie, czemu jeszcze nie jestem w domu z udawaną surowością, z którą się nawet nie krył?

Chyba mu nie przeszkadzało, że przyklejam się do jego boku i zasypuję potokiem codziennej gadaniny. Mnie nie przeszkadzało.

Nawet nie potrzebowałam, żeby mi coś kupić, wiedziałam, że nie powinnam prosić, że było ciężko. Nie chciałam niczego ze sklepu poza jego obecnością, poza znaną rutyną, poza silną obecnością ojca.

Chciałam wracać z nim do domu, przeskakiwać co dwa schodki, trzymając reklamówkę z butkami w ręce.

Czasem bułek było dwanaście. W dni, w które udało nam się trafić na świeży wypiek. Zjadaliśmy ciepły, chrupiący z zewnątrz i parujący mięciutki nadek w tajemnicy, uśmiechając się do siebie niczym drobne rzeźmieszki zadowolone z niecnego uczynku.

Nie było większego szczęścia niż te bułki chrupane w drodze do domu.

Po jakimś czasie przestał jeździć na ryby. Kupił ogródek działkowy bardzo blisko domu. Chwaliłam się wszystkim dookoła, że dojście na miejsce zajmuje tylko pięć minut spacerkiem. A jak ktoś miał dłuższe nogi, jak tata, to nawet i ze trzy.

Prawdę mówiąc, nie lubiłam tam być. Nie znosiłam brudzić sobie rąk, dotykać oślizgłych dżdżownic, wrywać chwastów, które za nic świecie nie chciały dać się wypławić. A do tego stojąca na środku ogrodu krzywa altana z zielonkawych desek wśród bujnej zieleni wyglądała jak strach na wróble, o którym ktoś już dawno zapomniał.

Ale ziemia wokół niej stała się dla ojca drugim domem, a dla mnie miejscem, w którym zawsze mogłam go znaleźć, kiedy potrzebowałam upewnić się, że jest. Nigdy nie zachodziłam tam specjalnie. Zawsze przy okazji. Najczęściej podczas wiosennych spacerów, w drodze ze szkoły, po drodze do znajomych, w drodze od znajomych.

Nie zawsze wchodziłam do środka. Czasem przyglądałam się zgiętym plecami ojca, który przekopywał grządki, piłował deski na nową ławkę, podlewał swoją największą ogrodową dumę, pomidory.

Nikt nie ma takich ładnych pomidorów jak ja.

Gdy jednak mnie zauważył, nie miałam już wyjścia, jak tylko przyglądać się każdej grządce.

Podziwiałam jego zaangażowanie, choć go nie rozumiałam. Widziałam, że cieszy się z każdej wyrosniętej marchewki, którą przynosił do niedzielnego rosółu. Z każdej wyhodowanej rzodkiewki.

Patrz, jak chrupie. Patrz, jak wyrosło. Zobacz, jak ładnie wygląda. Spróbuj, jakie dobre.

Patrzyłam. Próbowalam. Rozumiałam, że to wszystko dla nas.

Upierałam się, by przywoził i odwoził mnie pierwszego i ostatniego dnia studiów. Wyszarpnięta godzina, czasem półtorej, która mi się należała. Która należała się nam. Czutałam się bezpiecznie, gdy prowadził. Nigdy nie spotkałam lepszego kierowcy.

Nawet gdy na pustej, prostej drodze chwalił się, że potrafi panować nad autem bez trzymania rąk na kierownicy. Oczywiście, że potrafił, no bo któż by inny. Oczywiście, że tak.

Mógłby mi powiedzieć, że potrafi odpalić statek kosmiczny i zapewne tak by było. Przechwałki przechwałkami, ale na motoryzacji to on się znał. Lubiłam go słuchać. Choć podróżowaliśmy czasem w ciszy.

Nie pamiętam, kto z nas w końcu mówił coś pierwszego. Czy opowiadałam mu o wykładach, czy pytał mnie o przyszłość?

Czy ja go o cokolwiek pytałam?

Dlaczego nie mogę sobie tego przypomnieć? Dlaczego pamiętam tylko chmury i niebo, poruszające się obrazy za oknem, dużą, szorstką dłoń zmieniającą biegi? Tylko plecy pochylające się, żeby wyjąć mój bagaż i wnieść go do pokoju w akademiku? Szybki uścisk na pożegnanie i bądź grzeczna dźwięczące w pustym pokoju wypętnionym październikowym słońcem? Dlaczego nic więcej?

* * *

Wiem, że lubił śpiew ptaków. Wiem też, że budował dla nich kolejne domki i długimi godzinami obserwował wprowadzające się do nich wróbelki i sikorki. Wiem, że przyciszał wtedy radio, siadał na tarasie z papierosem w dłoni i przymykał oczy. Tu mieszka sikorka. Wczoraj uciekała, jak tylko mnie zobaczyła, wiesz? A dzisiaj to nawet usiadła koło mnie na ławce.

Jego niebieskie oczy błyszcząły, gdy dzielił się ze mną drobnymi szczegółami przyjaźni z sikorką.

Nienawidziłam jej. Jak śmiała być większym powodem do dumy ode mnie.

Może, gdybym częściej przychodziła do niego przy okazji...

* * *

Nie zdążyłam. Lato gorące jak rozgrzana lutownica było latem ostatnim.

Nie mogłam się już przyglądać, jak z precyzją naprawia rzeczy. Jego masywne, duże dłonie leżały splecione na brzuchu, zastygnięte w trumiennym, ostatnim geście modlitwy.

Nie mogłam już postuchać o rybach, profesorach, których zaskakiwał wiedzą, o tym, że rzodkiewka szczypie w język, ale jest dobra, a wędzarni, którą niedawno wybudował, zazdroszczą wszyscy sąsiedzi.

Zamiast czekać, aż pojawi się pod sklepem, musiałam czekać, aż zamkną wieko trumny. Zamiast jechać z nim fiatem, musiałam patrzeć, jak wiozą go czarnym

samochodem, którego marka nie miała znaczenia. Zamiast kłaść do ziemi nasiona, musiałam kłaść do ziemi ojca. Zamiast działki pięć minut od domu, musiałam zachodzić na działkę dziesięć minut od bramy cmentarza.

Powinnam zachodzić, przy okazji.

Nie zachodzę.

Sikorka bogatka siedzi na balkonie i patrzy mi w oczy.

Śpiewa z wyrzutem, nie ma jej kto nakarmić. Domek dla ptaków spadł z gałęzi jabłonki i roztrzaskał się o ławkę.

Nie ma domku, nie ma ojca, nie ma okazji.

Żółta lutownica już mi się nie przyda.

Patrz się i ucz, bo wiecznie żył nie będę.

Nie umiem z niej korzystać. Bo to nie na nią tak naprawdę patrzyłam. A teraz nie ma mi już kto pokazać.

Sikorka bogatka siedzi na balkonie. Przypomina naszą żółtą lutownicę.

Śpiewa.

Cicibej cicibej cicibej cicibej. Cicibej cicibej cicibej cicibej...

MAGDALENA KUBACKA: gorzowianka; rocznik '92. Trwającą od dziecka hiperfiksację na słowa, litery i znaki typograficzne przekształciła w ścieżkę kariery. W mitycznym wolnym czasie lubi zanurzyć się także w innych formach artystycznej ekspresji. Albo odciąć się od świata w muzeum.

WIERSZE**Agnieszka Moroz***** * ***

Urodziłam się we wtorek o dziesiątej
Dziecko Marsa zawsze gotowe do walki
z zimną furią zamiast krwi
pod powierzchnią żył
prywatną rzeką Lete
przez którą łatwo się zapomnieć

Jestem najdzikszym z dzieci swojej matki
Makijaż to moja mimikra
częściej przeklinam niż zaklinam
a moje włosy topoczą na wietrze
jak wściekłe słoneczne chorągwie

Kwaskowata i krucha
przypominam nieregularne jabłko
co upadło zbyt daleko
od jabłoni

* * *

Jestem twoją prywatną Moną Lisą
uśmiecham się przez cały czas
Ale powiedz
czy to na pewno jest uśmiech

Mawiasz
że jest coś romantycznego
w sposobie w jaki splatam palce
coś absolutnie szlachetnego
Czy pomyślałeś
że chodzi o zmęczenie
i ból

Ten ostatni
podobno uszlachetnia

* * *

Zagłosuj na mnie w plebiscycie
Najbardziej Instagramowe Życie
Mam w głowie kolorowe kotki
gumowe rybki cukrowe posypki
pazy brokaty i błyskotki

I język taki słodki
tylko hashtagi i emotki
absolutnie żadnej kropki
(tej strasznej stanowczej kropki)
ani litery -ę

Patrz jak pracuje z kim śpię i co je
a potem głośuj
głośuj na mnie

AGNIESZKA MOROZ: literaturoznawczyni z tytułem doktora w dziedzinie nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka i recenzentka teatralna. Autorka czterech książek poetyckich, monografii naukowej *Jak uwieść czytelnika? Jonathan Carroll i Andrzej Sapkowski wobec kulturowych koncepcji śmierci* oraz licznych artykułów literaturoznawczych. Stypendystka marszałka województwa lubuskiego i (dwukrotnie) prezydenta Gorzowa. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Prowadzi na instagramie profil Poławiaczka książek (@polawiaczkaksiążek), na którym aktywnie promuje czytelnictwo i doradza początkującym poetom.



TWOJA ZWINIĘTA PIĘŚĆ

Aneta Gzińska-Hwozdyk

Siedział przede mną – taki na wskroś normalny. Ubrany w kolorowy sweter, ciemne spodnie. I patrzył. Zasadniczo wszyscy patrzą. Ale on patrzył inaczej, tak przesywająco. Jakby chciał mnie zbadać tym wzrokiem, a może raczej telepatycznie przekazać mi wszystkie dane dotyczące schorzenia. O takich chorobach nikt nie lubił mówić. Może ten chciał właśnie tak... Może ten sądził, że jemu właśnie uda się nie mówić, ale przeniknąć do świadomości, wtłoczyć w umysł, powiedzieć duszą, aby nie mówić... A jednak nie...

– Nie mogę zwiijać dłoni w pięść...

Cisza. Nie tego się spodziewałem po tym człowieku.

– Nie potrafię zwiijać dłoni w pięść... Mam czterdzieści lat i jeszcze nigdy tak naprawdę mi się to nie udało. Wszyscy ludzie potrafią. Zwijają, unoszą, grożą, podtykają pod nos, walą w stół. Robią użytek z pięści. A ja nie potrafię. Nie mogę. Moje palce nie chcą się tak wygiąć.

– Jestem psychiatrą. Może więc źle pan trafił? Może lepiej do ortopedy. Do chirurga ewentualnie. Wie pan, to zależy od schorzenia. Może coś tam się zrosło, zrobiło? Jakieś zwyrodnienie, skrzywienie, no wie pan – tak normalnie. Czasami coś narasta i niekiedy boli. Tak, to może być naturalny odruch na ból, o którym pan już zapomniał, a który gdzieś tu jest i doskwiera, gdy pan próbuje. Może taka uroda kości. Wie pan, my tak właśnie mówimy: „Uroda”. To może być dla pana męczące, ale jest inne, więc stanowi o pięknie. Rozumie pan? Lekarze nigdy nie zajmują się tym, co normalne i zwykłe. Nas zawsze interesują przypadki. Wyjątkowe... Szczególne przypadki...

– Nie potrafię zwiijać dłoni w pięść. Mam czterdzieści lat i już przestałem próbować. Nic mnie to nie boli! W ogóle mnie to nie boli. Ale nie chcę już próbować...

Znalazłem naukową teorię. Miałem już definicję przypadku. Już chciałem wyrecytować lekarską formułkę, gdy nagle... Mój czterdziestoletni pacjent zerwał się, odsunął krzesło i uniósł dłoni.

– O, proszę, zmusił mnie pan, sprowokował! Zostałem sprowokowany! O!

Gest wydał mi się dziwny...

– O!

Teraz już widziałem. Jego dłoń... Wyraźnie skierowana była w moją stronę.

– I co? Czy taka pięść spełnia swoją funkcję? Chciałby pan taką pięścią dostać w nos? Zobaczyć taką pięść przed swoją twarzą? Wystraszyłby się pan, gdybym panu pogroził? Otóż robiłem eksperyment. Nikt. Mówię panu, NIKT się nie przeraził...

Usiadł.

– Moja ręka zwinięta w pięść przypomina serce. Dorosły facet z sercem zamiast dłoni. Myśli pan, że to normalne?

Rzeczywiście, nie przestraszył mnie. Poczułem coś na kształt zrozumienia. Teraz ja przenikliwie spoglądałem na mężczyznę. W istocie miał serce zamiast pięści. W tej zwiniętej dłoni zauważyłem poruszające się żyły mięśni i aortę przegubu. W splocie pod dłonią wszystko grało, poruszało się. Wszystkie żyły nabrzmiaty – widziałem ich bicie. Dostarczały krwi do dłoni jak do serca. A ono biło tymczasem, pulsowało swoim rytmem. Nawet nie próbowało być pięścią.

– Proszę mi pokazać dłoń. Widzi pan. To jest linia głowy. Jest pan człowiekiem inteligentnym, a jednak o dość wybujałej osobowości. Jednostka neurotyczna, nieco zamknięta w sobie. Linia głowy łączy się z linią szczęścia. Przerywana... Ale proszę zobaczyć – wkracza pan w okres jej szczególnej wyrazistości... O, a tu jest linia życia. Silna, mocna, długa. Anatomicznie – żadnych uchybień od normy. Ma pan rację. Dla internistów nie stanowi pan ciekawego przypadku. I na pewno nic pana nie boli...

Oto stała się rzecz niesamowita! Oto ja – psychiatra, trzymałem jego dłoń niczym... wróżka i DIAGNOZOWAŁEM! Tak, diagnozowałem...

– Ale ma pan, o tu, jeszcze jedną linię. Nie wszyscy ją mają. A już na pewno mało kto ma ją tak wyrazistą. To linia serca...

Wyrwał mi dłoń.

– Proszę nie wspominać o sercu! Proszę tylko nie wspominać mi o sercu! – Przez chwilę milczał, po czym ściszym głosem dodał: – jeśli pan może, proszę mnie nauczyć pięści. Nie radzę sobie w życiu...

Zrozumiałem dopiero po jakimś czasie. Dopiero, kiedy wyszedł. Kiedy minęło kilka lat. Kiedy przez te lata obserwowałem różne ludzkie dłonie. Kiedy raz po raz sam próbowałem dostrzec odmienną własną pięść. Kiedy zastanawiałem się, czy ja właściwie ją zwiżam.

Aż wreszcie, kiedy już zaczynałem odpowiednio interpretować, wtedy właśnie na świat przyszedł mój syn...

Zaciśniętymi piąstkami witał i żegnał każdy dzień. Płacząc, nerwowo bił piąstkami w poduszkę. Delektowanie się jedzeniem wyrażał poprzez silne zaciśnięcie pięści. To piąstką właśnie wymachiwał w kierunku grzechotki.

I byłem pewien – poradzi sobie w życiu.

Ale... jeśli „dłonie są krajobrazem serca”?

Pewnego razu nie wytrzymałem. Patrząc na wszechobecną w życiu naszej rodziny pięść mego syna, powiedziałem po raz pierwszy: „Zobacz, twoja zwinięta pięść przypomina serduszko. Cudowne, małe serduszko.”

Najpierw myśl – czy przypadkiem mu nie zaszkodziłem?

Ale już za chwilę tkwiłem w głębokim postanowieniu – będę mu powtarzał te słowa nieustannie. Właśnie po to, aby to nie pięść stanowiła o istocie jego życia. Niechaj umie ją zwiijać, ale niechaj nie triumfuje w tej swojej umiejętności. On ma przede wszystkim umieć kochać. Zwinięta pięść ma nauczyć go miłości.

Zauważyłem, że jeszcze nie ma tak silnie wykształconej linii serca, ale wierzę, że ją zdobędzie.

„Twoja zwinięta pięść przypomina serduszko. Cudowne, małe serduszko.”

Nie wierzysz? Popatrz w lustro. Pokochaj to serce...

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzyczanka na żyrandolu* (2023).



OKAZJE (TRYPTYK)

Ferdynand Głodzik

Pan kotek był chory

Pan kotek od środy bardzo niedomagał
i przyszedł kot doktor; gruntownie go zbadał,
zmierzył mu gorączkę, a także ciśnienie
oraz metodycznie prześwietlił kieszenie,
a że miał drapieżne i długie pazury
to całkiem zwyczajnie obdarł go ze skóry.

Do takich zabiegów on zawsze był gotów,
bo pochodził z rasy bardzo tłustych kotów.
Jesteś osłabiony, złapałeś Covida,
Tobie się ta kasa w ogóle nie przyda.

Jutro zaszczepimy znów kolejny powiat,
bo przecież darmową mamy służbę zdrowia.
Kiedy już będziemy zdrowi i bogaci,
oddam ci z podatków, które sam zapłacisz.
Póki nami rządzi wszechpotężny nierząd,
to moje pieniądze i mnie się należą.

Oferta (pantum)

ktoś do mnie dzwoni kto zupełnie nie wiem
miły dziewczęcy słyszę głos w słuchawce
paniusia pragnie wcisnąć mi badziewie
chce mnie przekonać że robi mi taskę

miły dziewczęcy słyszę głos w słuchawce
gadżet wart może marnych groszy dziewięć
chce mnie przekonać że robi mi taskę
skąd się to bierze sam naprawdę nie wiem

gadżet wart może marnych groszy dziewięć
gada głupoty sypie w oczy piaskiem
skąd się to bierze sam naprawdę nie wiem
dziś w taki sposób zarabia się kaskę

gada głupoty sypie w oczy piaskiem
nie chcę nic kupić tego jestem pewien
dziś w taki sposób zarabia się kaskę
aby ją sptawić aż wychodzę z siebie

nie chcę nic kupić tego jestem pewien
paniusia pragnie wcisnąć mi badziewie
aby ją sptawić aż wychodzę z siebie
ktoś do mnie dzwoni kto zupełnie nie wiem

Ktoś puka

Pęźnie serial po nudnym ekranie,
wtęm do drzwi się rozlega pukanie.
Dziadek uniósł powieki przymknięte;
kombatancką przyznali mi rentę!

Babcia mówi: ja czułam od rana,
to listonosz i główna wygrana,
mała Hania radośnie zawoła:
idą święta, to pewnie Mikołaj!

Gruba ciotka samotna, leciwa,
ciężkie biodra z fotela podrywa,
patrzy wzrokiem maślanym przez okno:
może kończy się moja samotność?

Chłopcy siedzą w kąciku pokorni;
to policja, a może komornik?
Oczekiwać katalog się mnoży,
niech nareszcie ktoś pójdzie otworzyć!

Wchodzi młodzian w krawacie i gada:
nową partię będziemy zakładac,
podpisujcie się śmiało, otwarcie,
bardzo liczę na wasze poparcie.

FERDYNAND GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księgo imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.

LIMERYKI

Halinka Bohuta-Stąpel

Miał okazję lingwistom w Rybniku
gość z Japonii, mistrz formy haiku
rzec, że polska ulica
go po prostu zachwyca,
zewsząd słysząc wciąż coś na „ha” i „ku”.

Ma okazję modelka w Miliczu
z mistrza ust, znawcy sztuki i kiczu
słyszec: – Dziwny przypadek...
Dziełem sztuki jej zadek
kicz – makijaż zaś na jej obliczu.

Miał okazję pan Jurek z Chodzieży
dostać w dziób – żonie dał wór odzieży,
lecz się znalazł pod kreską
myląc XL z XS-ką:
– Gustu brak, to miej miarkę choć, Jerzy!

HALINKA BOHUTA-STĄPEL: urodziła się w Poznaniu, ale od ponad 40 lat mieszka na Ziemi Lubuskiej (Zielona Góra/Wilkanowo). Debiutowała w latach 70. XX w. we Wrocławiu na łamach prasy miejskiej i studenckiej. Jest autorką kilku tomików zawierających lirykę osobistą, kilku scenariuszy teatralnych i jednego filmowego, legend lubuskich, piosenek kabaretowych (płyta *Kameralnie, Funeralnie*, 2017). W 2024 roku wydała zbiór humoresek *Bar Pod Błękitnym Aniołem*. Współtworzy Literacki Kabaret HALLO, należy do Związku Literatów Polskich o. Zielona Góra, aktualnie sprawuje funkcję wiceprezesa.

CHODŹ NA SŁÓWKO

Katarzyna Barbara Gucałło

Pamiętasz, jak umarł Seba?

Był najlepszym sportowcem w naszej klasie. Spokojny, miły, uprzejmy, całkiem niezły uczeń. Koledzy podziwiali jego sukcesy. Niejedna dziewczyna wdychała na jego widok.

Skończyliśmy szkołę, rozeszliśmy się do swoich żyć. Ale kilka lat po maturze chłopcacy nadal spotykali się na meczach koszykówki. Co najmniej raz w miesiącu.

Na jednym z takich piątkowych spotkań, pomiędzy jednym a drugim podaniem piłki, serce Seby przestało bić. Tak po prostu. Bez ostrzeżenia.

Reanimacja. Karetka. Szpital.

Cztery dni później spotkaliśmy się całą klasą na cmentarzu.

Szok i niedowierzenie. Dlaczego tak szybko? Czemu on?

Gdybyśmy mieli zgadywać, kto z nas pierwszy odejdzie, nikt nie postawiłby na Sebastiana. Prawdę mówiąc, wcale jeszcze nie myśleliśmy o odchodzeniu. Raczej o kolejnym szalonym wieczorze w kolejną, tym razem okrągłą, rocznicę egzaminu dojrzałości.

Wiadomość o śmierci Seby była jak eksplozja z potężną falą uderzeniową. Przekazywane z telefonu na telefon krótkie wiadomości, posty w internecie, komentarze na grupie klasowej płynęły jeszcze długo po pogrzebie. W każdej tza i uśmiech. Bo to taki porządny chłop był, tyle dobrego zrobił, taka strata...

Tyle pięknych słów, tyle życzliwości. Czy to do niego dotarło?

Gdyby usłyszał to wszystko za życia... Pewno byłby zdziwiony. Ale i rad. Pozytywna energia potrafi dodać skrzydeł. A komu z nas nie przydałby się taki zastrzyk wzmacniający?

No to po co czekamy z dobrym słowem aż do śmierci, skoro każdy kolejny dzień życia jest wystarczającą okazją, by docenić, wesprzeć, darować komuś uśmiech?

Wiesz co, mam pomysł. Na naszej grupie klasowej raz w tygodniu wywołajmy do tablicy kogoś z koleżeństwa. Niech każdy powie temu wywołanemu coś pozytywnego, przywoła wspomnienie, pogratuluje, pochwali albo chociaż serdecznie pozdrowi. To tak niewiele wysiłku, a może znaczyć tak dużo. Niech się każdy z nas nacieszy za życia, dopóki może usłyszeć, przeczytać i się zrewanżować.

A może by tak nie tylko na grupie klasowej? W ogóle mówmy częściej miłe rzeczy. Po prostu. Bez okazji.

Co ty na to?

KATARZYNA BARBARA GUCAŁŁO: architektka, edukatorka, korespondentka miesięcznika „Architektura Murator”. Gorzowianka. Opisuje wydarzenia, miejsca, podróże. Zdarzają jej się opowiadania (np. fantastyczne do „LandsbergOnu”), bajki i scenariusze warsztatów (architektonicznych lub dotyczących rozwoju osobistego), a nawet wywiad pogłębiony do pracy naukowej o pięknie. W „Pegazie Lubuskim” pojawia się po raz pierwszy. Ale to jeszcze nie jest jej ostatnie słowo...

QUASI-TRAKTAT O DŁUGOŚCIACH I SZEROKOŚCIACH GEOGRAFICZNYCH¹

Maciej J. Dudziak

Stąłość jest wytworem umysłu, potrzebą zatrzymania czasu. To, czy coś zmienia się wolniej czy szybciej, nie powoduje, że stan skupienia i jego stopień pozostają zawsze takie same. Do braku stąłości trudno przywyknąć: brak stąłości zapowiada mniej lub bardziej, ale jednak zawsze koniec, ten zaś staje się początkiem, światów odrodzenie.

Ten nieodczytany jeszcze na nowo schyłek wiosny zawsze pobudzał nasze zmysły: woń wszędobylskich mydlin unoszących się z wciąż używanych wspólnych pralni na poniemieckich podwórkach mieszała się z zapachem wilgoci unoszącej się z pobliskiego jeziora filtrowanego sosnowym eterem. Z wybudzonych po zimowych marzeniach pralek miarowo i coraz głośniej dobywał się szum potężniejących z każdą sobotą wirów wodnych zlewających się tuż przed południem w jeden pochwalny hymn na cześć wspólnotowych ablucji zmywających resztki chowającej się w dziurach i wykrotach zimy.

Raz po raz odzywała się tekstura przejścia chyłkiem w niepozorności i wyboje lata. Koniec powtarzalnej epoki leniwego zakowania zmieniał się w twórczą anarchię podróżowania do krain na wyciągnięcie ręki, acz niedostępnych codziennie... W cichym grymasie zacięcia sunęliśmy wzduż Witny ku północy, ku mocom czekającym i nieodkrytym... Szliśmy nad Gross... Stawa wióśnie!

Nocami, gdy błady i nabrzmiały od podejrzanych płynów sennych księżyc wił się po comiesięcznej trajektorii, miasto oddawało się powszechnym praktykom lunatykowania. W te późne wieczory łączące się z księżycowaniem do miasta witał Cyrk Swoisty. Jego prawdziwa natura odstaniała się w tych momentach szczególnych, w których gasły światła i neony, a rozdygotana rechem publiczność znikwała w czarnych brytach miejskich kamienic, by jeszcze raz opowiedzieć o brodatych babach, klaunach upiornych i wychudzonych linoskoczkach. Wtedy właśnie, w tych momentach szczególnych, dostępnych jedynie tym z nas, którzy doświadczali lunatycznych spacerów nocnych, wpatrując się w półmisek księżyca, cyrk odstaniał swoją prawdziwą naturę: porzucone maski szeptały coś do siebie w niezrozumiałych językach, a lustra zachęcały do wejścia w swój wewnętrzny świat.

W tych somnambulicznych peregrynacjach niektórzy z nas trwali aż do schyłku jesieni, kiedy to dni okrutnie doświadczane przez smutny deszcz zapadały się w sobie, lewitując ku światom przebrzmiałych opowieści. Część z nich

1 Tekst jest fragmentem książki *Translandia*, która ukaże się w tym roku.

trwała do naszych czasów. To swoiste i ukryte przed zwykłym tu byciem teatrum rozgrywało się zawsze w okolicach dworca kolejowego leżącego na dawnej trasie Berlin–Królewiec. W jego pobliżu, na Bahnhof Strasse (tak samo, jak i teraz, przed i po końcu świata), na rosnących, ponad stuletnich klonach zbierają się jesienią ptaki. Setki, czasem i tysiące obsiadują. Schulz, syn właściciela gospodarstwa nad Grossem, którego poznałem w połowie lat 90., twierdził dokładnie to samo. Chmury czarnego ptactwa były zmorą tej części miasta, szczególnie obklejając każdy fragment potężnych drzew. Każdego roku w dniach powszechnego szeptu i ukrytych ptasich dialogów na kilka dni zdobywały południowe części naszego miasta, ustanawiając pierzastą republikę.

Podobnych najazdów doświadczały inne dworce kolejowe na tej trasie obłożonej otwartym zbiorem czasowników: przyjeżdżano, przypędzano, wypędzano, uśmiechano, uciekano, miłowano i inne robiono, mówiono, chodzono. Ptaki na styku jesieni i zimy były zawsze. Czarne anioły nadchodzących zmian w Translandii, bo, jak powiadają jedni: jedyną niezmiennością, statą, constans i kotwicą pewności jest ciągła zmiana.

Ten jesienno-zimowy rytuał przejścia, ów powszechny *rite de passage* nosił w sobie jeszcze jeden sekret widziany z dziś misterium: gdy odchodzące coraz dalej na zachód słońce nieledwie przebijają się przez poduszki mgieł tulące się do murów naszych domów, zaczynał się sezon powszechnego letargowania. Dobrowolnie uwięzieni chłodem, ciemnością i gazą wilgoci w żelbetowych pułdach socrealistycznej wyobraźni, powracaliśmy z wielogodzinnych łowów leśnych, znosząc kosze i wiadra jesiennego złota, bieli i brązów. Grzyby na wiele tygodni rozpały niemal każdą dyskusję w naszym mieście, stanowiąc powód do kłótni, zazdrości, podziwu, upadku i triumfu wygranych i przegranych tych bezkrwawych łowów.

Krótkimi dniami, rozwleczonymi wieczorami i upiornie długimi nocami w licznych korytarzach, przejściach i piwnicach dominował tylko jeden, słodko-korzenny aromat suszonych grzybów wypełniający nie tylko nozdrza, ale również i wyobraźnię. Niektórzy z nas wyczuwali w tym ten nieuchwytny rejestr niedostępny ni na co dzień, ni od święta, zapach tajemnicy jesieni.

W tych czasach życie wspólnotowe ulic, kamienic i placów naszego miasta buzowało wewnętrznym tempem subtelnych zależności, ale przede wszystkim nieskrępowaną chęcią bycia razem. Gdy jesienne gąbki chmur wyciskały miliardy łez, życie wspólnotowe przenosiło się do piwnicznych komnat, w których akordy suszonych grzybów mieszały się ze świeżymi rybami oprawianymi za ścianą. Ojcowie nasi w ten czas potężniejącej nocy rozciągającej nad naszym miastem z każdym dniem coraz szerzej swój ciemny płaszcz spędzali wiele wieczornych i nocnych godzin na grach hazardowych. W tym samym czasie nasze matki godzinami więziły pozostałości po obfitym lecie i wczesnej jesieni w stojakach, stoikach i fłaszach. Piwnice i kuchnie wieczorami stawały się osobnymi

organizmami: szepczącymi, parującymi, syczącymi i szumiącymi gotowaniem, smażeniem, suszeniem. W tym czasie zajmowałem się podróżowaniem po pionowych i poziomych trajektoriach naszego prostopadłościanu: otwarte i uchylone drzwi komnat piwnicznych i poszczególnych mieszkań uwalniały półtony i dźwięki łącznie się w ciągi muzyczne. Część z nich stawało się efemerycznymi hymnami tego sezonu, część wciskała się w nierówności ścian i mysie dziury, tułac do snu.

Spijałem te dźwięki, łączę je z kubkami wszechobecnej mgły, by w końcu upojony tym doświadczeniem złądować pod pralką w ciemności łazienki: szum fal wirujących prznosił mnie w kraje odległe pełne pierzastych istot mieniących się feeriami kolorów. Podróżowałem daleko, łączę jesienne życie naszej wspólnoty ze szmerem wyobraźni krain odległych. W czasach mojego głębokiego dzieciństwa ten świat transportowany jeszcze z głębokiego Drohobycza i Kołomyi istniał. Spędzałem całe wieczory wtulony w pralkę. Bulgoty, tonie i kipiele przywodziły na myśl Conrada i Londona. Rozgrzewały książki Curwooda i Szklarskiego.

Coraz głębiej i bez świadomości dotykałem jądra Translandii...

*

Kilka kilometrów na zachód od naszego miasta, podobnie jako ono usadowionego w głównym nurcie Strasse Eins, leży Tamsel (po końcu świata Dąbroszyn). Szlak łączył onegdaj Berlin z Królewcem. Wędrowali nim handlarze cudów, wioząc w głowach nowe idee, wieści ze światów odległych. Maszerowały nim wojska rozmaitych właściwości, kolorów i barw. Zawsze jednak Strasse Eins łączyła, a nie dzieliła. Podobnie było z włościami Tamsel, w których na świat przyszedł w 1641 roku feldmarszałek Hans Adam von Schöning, pogromca Turków w bitwie pod Budą w 1686 roku. Te i inne zwycięstwa, stojąc na czele brandenburskiego regimentu, przysporzyły Hansowi Adamowi nie tylko sławy, ale też i zasobnego portfela umożliwiającego przebudowę siedziby rodowej w Tamsel.

Von Schöning miał syna Ludwiga, z którym dzieli do tej pory i mauzoleum, i kościelną kryptę; ten zaś miał córkę Luizę Eleonorę. Syn, który nie zapisał się niczym szczególnym, schodzi ze świata zaledwie piętnaście lat po ojcu (1711), wygaszając linię Schöningów. Wnuczka, do której jeszcze wrócę, wyszła za mąż za Adama Fryderyka von Wreech.

W przypałacowym kościele, w niewielkiej, bocznej nawie jeszcze w czasach ociężałego baroku właściciele Tamsel ufundowali marmurowe, pompatyczne mauzoleum dedykowane Hansowi Adamowi i Ludwigowi. Po końcu świata, gdy w kościele uruchomiono kościół katolicki, re- i ekspatrianci z różnych stron świata uznali, że monumentalne rzeźby są wizerunkami świętych. Przed każdą mszą i pomiędzy nimi lingwistyczna pstrokaczna wiernych wznosiła grupowe

i indywidualne modły do złożonych w kościelnej krypcie marmurowych wizerunków Schöningów. Dojeżdżający do pałacowej kaplicy ksiądz katolicki, nie chcąc dalej narażać siebie i owieczki w trzódce na grzech batwochwalstwa lub inne konsekwencje prawa kanonicznego, kazał zamurować mauzoleum cegłą z poniemieckiej stodoły. Przy okazji na długie dekady urządził sobie i kolejnym braciom w wierze przytulną i dobrze wyposażoną w antyki zakrystię. Podobnej niezamierzonej akcji zabezpieczającej dokonał miejscowy PGR, lokując siedzibę w pałacu von Schöningów, von Wreechów i von Schwerinów doświadczonych końcem świata. Bez tej nieskoordynowanej i niezamierzonej, a jednak wykonanej akcji zabezpieczenia zabytków przez duet katolicko-komunistyczny, Tamsel podzieliłoby los ogromnej liczby pałaców, kamienic i innych poniemieckości zbudowanych w Translandii przed końcem świata.



Foto: Muzeum Twierdzy Kostrzyn, CC BY 3.0

Przed rozpoczęciem szturm na Berlin w marcu 1945 roku Tamsel było siedzibą sztabu sowietów. Zachował się film z kroniki wojennej, kiedy to marszałek Żukow przechadza się po nietkniętych salach pałacowych, kierując się do sali balowej, w której zainstalowano makietę ataku na Odrę i dalej Wzgórza Seelow. Kilka miesięcy później, gdy koniec i początek świata podały sobie szorstką dłoń, Tamsel było siedzibą Polskiego Urzędu Repatriacyjnego, jego szczególnej wariacji, jako pierwszy zaodrzański punkt filtracji i weryfikacji przemieszczających się milionów ludzi.

Gdy po 1990 roku świat zmienia się po raz kolejny, w zasadniczy i zaskakujący sposób pada PGR, pałac zostaje przejęty przez gminę. Mosty na Odrze stają się drożne i w dawnym Tamsel pojawia się Jutta, żona Malte von der Lancken, ostatniego właściciela, wnuka von Schwerinów. Z początku ukradkiem, niepewna przyjęcia pojawia się, porządkując stalowe, cmentarne krzyże przodków. Ośmielona przez już tutejszych nawiązuje kontakt z gminą i przede wszystkim Zbigniewem Czarnuchem. Zaczyna się trwająca kilka dekad przyjaźń i współpraca na rzecz Tamsel.

Jutta von der Lancken organizuje każdego roku w pałacu i ogrodzie swoje urodziny. Zawsze sierpień. Jedno z nich pomyślane jest jako ukłon epoce świetności Tamsel, czasem Eleonory von Wreech i następcy tronu Prus Fryderyka II.



Urodziny Jutty von der Lancken, sierpień 1996

Ogród i pałac wypełniają matrony, bony i patroni w strojach z epoki. Czuć Eleonorę, ale jak czuć! W Translandii, zupełnie inaczej niż w Polsce kontynentalnej, Fryderyk II jest dobroczyńcą, poetą, miłośnikiem piękna, wiernym przyjacielem i melioratorem zapewniającym spokojny żywot mieszkańcom Warthebruch i Oderbruch. To właśnie z polecenia Fryderyka niderlandzcy melioratorzy w XVIII wieku regulują, osuszają, ryglują, obniżają i podnoszą brzegi rzek, uspokajając kapryśne wody regularnie zalewające pobliskie wsie i miasteczka.

Fryderyk był częstym gościem w pałacu Tamsel. Zaglądał tu nader chętnie, odwiedzając panią von Wreech po tym, jak w wyniku nieudanej ucieczki spod wojkowego drylu ojca Fryderyka Wilhelma I do Anglii został na rok zestany do

kostrzyńskiej twierdzy. Młodego Fryderyka interesowało wszystko to, co pozostawało w głębokiej pogardzie jego ojca. Do próby ucieczki z pomocą wiernego przyjaciela porucznika Hansa Hermanna von Katte doszło w 1730 roku. Zbyt wiele wskazuje również na to, by nie traktować sprawy poważnie, że von Katte był nie tylko przyjacielem, ale również kochankiem Fryderyka.

Czułne służby królewskie zwierzyły książe z zamiarem i udaremniły próbę. Von Katte w konsekwencji został ścięty w kostrzyńskiej twierdzy, zaś młody Fryderyk był zmuszony do oglądania całej egzekucji.

Wielomiesięczna zsyłka do, wprawdzie nieodległej od Berlina, ale jednak prowincjonalnej twierdzy Küstrin wprowadza Fryderyka w wisielczy nastrój i skrajną nudę. Po chwili odkrywa jednak, że w leżących po sąsiedzku włościach Tamsel urzęduje Eleonora Luiza von Wreech. Wprawdzie mężatka, wprawdzie matka dzieci, ale kobieta światła, wnuczka słynnego feldmarszałka.

Fryderyk promienieje, a Eleonora Luiza staje się dla niego natchnieniem i wyzwalczem pobudzającym wyobraźnię (i nie tylko): pisze, komponuje w każdą wolną chwilę poza Festung Küstrin.

Władczynią mą jesteś, więc każ mi bym częściej
Mógł bywać przy tobie z nadzieją na szczęście,
Mówić prosto w oczy to com skrywał w pieśni,
Póki sen na jawie całkiem się nie prześni.

Nazbyt mnie, o, Pani, pieśń poniosta chyba;
Za wielem rzec musiał – tę zuchwałość wybacz,
Umówmy się, proszę, że nie rzekłem słowa
Kłęcząc przed boginią. Głos zabrała trwoga²



Eleonora Luiza von Wreech,
de domo von Schönig

2 Wiersze i listy Fryderyka II Wielkiego w przekładzie Ireneusza Krzysztofa Schmidta pochodzą z książki Theodora Fontane *Po tej stronie Odry*, (opracowanie: Z. Czarnuch, Gorzów Wlkp. 2000).

Blisko dwieście pięćdziesiąt lat później, w jednym z berlińskich antykwariatów, profesor miejscowej Akademii Muzycznej Jürgen Rasinski odkrywa mocno pożółkłe partytury opatrzone podpisem *Kronprinz Friedrich*. Prawykonanie odbywa się latem 1999 roku w Sali Wielkiej pałacu w Tamsel. Okazja jest szczególna. Odrestaurowano właśnie sarkofag z prochami feldmarszałka Schöninga. Szczerze? Brzmiało to.

Zdaje się, że Fryderyka wzięto na dobre. Pisał do Pani na Schloss Tamsel tak:

Czyżby cud się zdarzył? Cóż oto się dzieje,
Księżę, syn królewski, prosi o nadzieję?
W pieśni mnie opiewać? – co on sobie myśli?
Odpowiedzi na nią, zuchwałej, nie wysłę.
Chociaż myśli zamęt płacze moje rymy
Pióro dalej pisze te aleksandryny

Tu i ówdzie mówią i to nie są brednie.
Że czutemu sercu język w sukurs biegnie,
Lecz wiem, jeśli w szranki stanę z pychy grzechem,
Słów twych i dowcipu będę tylko echem.

A echem być nie chcę, nie mogę, bo podziw
Dla czynu Twojego w duszy mej się rodzi.
Staję więc przed Tobą i tego nie kryję,
Że przez czyn swój, Księżę, już w mym sercu żyjesz...

Próżność mą słowami sycisz w samą porę.
Słowa te jak szatę wielkości ubiorę,
Tym bardziej, że one ubierała w pieśni
Dłoń Gracji, bogini dojrzałych czereśni.
Dajesz więcej niż sercu memu brać wypada,
Więc oto całą sobą hołd wdzięczności składa.

Jak traktować Fryderyka II, który w liście do brata, księcia Henryka Pruskiego szczególnie czczonego w Pałacu w Tamsel, aż do końca świata pisał tak o śmierci Augusta III Sasa?: *I oto król Polski jak głupi pozwolił sobie umrzeć; muszę Ci wyznać, że nie lubię ludzi, którzy robią wszystko w niewłaściwym momencie.*

Przynależał do własnej epoki, w której monarchia absolutna nie szła na kompromisy ze starszymi, skłóconymi i niewidzącymi kontekstu szerszego niż własny interes, a ten często kończył się na murach i włościach kościoła i granicach własności sobie-panów, również i ludziach.

W drugiej dekadzie XXI wieku nowi włodarze miasta, potączeni stałym łączem z Polską kontynentalną i przepojeni rewolucyjną gorliwością Wandy Wasilewskiej, postanowili zamknąć pałac przez panią Juttą, a do Centrum Współpracy

Polsko-Niemieckiej w naszym mieście wprowadzić grupę paramilitarną dzieci wczepioną w nacjonalistyczny korkociąg, o którym jeszcze za chwilę.

Po drugiej stronie Warty leży Słońsk, dawny Sonnenburg. Miejscowy zamek, a raczej to, co z niego zostało do dziś, było przez wieki siedzibą komturii maltańskiej. Niedługo po dojściu nazistów do władzy miejscowe ciężkie więzienie przeznaczono na pierwszy obóz koncentracyjny III Rzeszy. Zanim jednak na przełomie stycznia i lutego 1945 roku frankfurckie SS rozstrzelało ponad pół tysiąca w nim przetrzymywanych więźniów, ponad dekadę wcześniej osadzano tu nazistowskich przeciwników politycznych. Przez Sonnenburg przeszli między innymi pisarz Carl von Ossietzky oraz prawnik Hans Litten, który przed dojściem Hitlera do władzy doprowadził do procesu sądowego, w którym akwarelista z Linzu nie tylko musiał zeznawać, ale pogrzyźć Josepha Goebbelsa.



Aresztowania na masową skalę odbyły się na mocy zarządzenia wyjątkowego *Zum Schutz von Volk und Staat* (*O ochronie narodu i państwa*). Przepisy, podpisane przez obłożonego wiekiem Hindenburga, znosiły wszelkie podstawowe prawa obywatelskie zawarte w konstytucji Republiki Weimarskiej z 1919 roku. Naród musiał być chroniony przed każdym, kto śmie podnieść słowem lub czynem rękę na naród zjednoczony wokół nowego mesjasza. Von Ossietzky umiera w maju 1938 roku na gruźlicę w szpitalnym więzieniu. Chwilę wcześniej otrzymał pokojową Nagrodę Nobla. Hans Litten trzy miesiące wcześniej zostaje znaleziony w więziennej toalecie w obozie w Dachau. Podobno powiesił się.



W nazizmie nie chodziło o to, by łącać prawo w prosty sposób. Chodziło o to, aby prawo podporządkować woli narodu ogniskującej się wokół Führera. Wcześniej należało wyłączyć wszelkie bezpieczniki: opozycję, niezależną prasę, sądy, advokaturę. W konsekwencji nie idzie o to, aby nie przestrzegać prawa, ale aby stworzyć nowe prawo, nowych prawników, nową elitę, która będzie cerberować jednolitość narodu przeciwko jednostce. Coś to przypomina dziś? Prawo przeciwko demokracji.

Zasada prawa ponad demokracją nie byłaby możliwa do realizacji bez wsparcia rozkochanych w nazizmie ludzi świata nauki. Carl Schmitt i Martin Heidegger. Prawnik i filozof prawa. Jeden i drugi wstąpił do NSDAP w 1933 roku. Heidegger, spadkobierca hermeneutyki Schleiermachera mającego swój mocny epizod w Landsbergu, gorliwie wspierał ruch nazistowski od roku 1931. W opublikowanych w 2014 roku *Czarnych zeszytach* pisał tak:

Widać z dnia na dzień, na jak wielkiego męża stanu wyrasta Hitler. Świat naszego narodu i Rzeszy podlega przemianom i każdego, kto ma oczy do patrzenia, uszy do słuchania i serce do działania porywa entuzjazm i ogarnia prawdziwe, głębokie podniecenie – znów mamy wokół siebie wielką rzeczywistość i zarazem wielką presję, aby tę rzeczywistość wbudować w duchowy świat Rzeszy i w tajemne powołanie niemieckiej istoty. (13 kwietnia 1933 roku).

Jeden i drugi uniknął konsekwencji swojego zaangażowania. Jeden i drugi do dnia dzisiejszego żyją życiem po życiu: cytowania, dysertacje, odwołania. Jak łatwo dać się uwieść marzeniu o czystości rasowej, megalomanii i wrogach zewnętrznych i wewnętrznych, którzy stoją na drodze do wiecznego szczęścia.

W fundamentach tak realizowanego projektu tkwi zawsze to samo założenie: zawsze będą jacyś obcy, inni, lub najzwyczajniej – oni, których trzeba wyeliminować, by nastąpiło piękno i dobro. Nacjonalizm jest niezwykle użyteczną ideologią dla potencjalnych i rzeczywistych zbrodniarzy. Również i dziś.

Dziś w Słońsku, dawnym Sonnenbergu tężeje mgła oblepiająca szalenie ruiny joannickiej komturii. Po obozie koncentracyjnym nie pozostało zbyt wiele śladów. W jednej z okolicznych wiosek mieszkają potomkowie Poleszuków, którzy w przedwojennym spisie powszechnym w rubryce „narodowość” wpisywali „miejscowy”. Przez kwartał lśniącej, o mgielnej wilgoci, stalowo-siniej kostki brukowej przejeżdża wóz ciągnięty przez dwa konie. Zaprzęg mija srebrne audi na berlińskich rejestracjach.

Gdzieś obok rozprawia miejscowa napowietrzna wspólnota alkoholowa. We mgle jej nie widać, ale słychać urywki zdań. Być może nasycenie wilgocią zniekształca słowa, a może jest zupełnie odwrotnie. Kto w imieniu narodu zadaje ból i cierpienia innym, zapomni, że jest przede wszystkim jego sługą. Państwo i jego środki mają służyć rządzonym, a nie rządzącym. Historia jest wypełniona skurwysynami, a jej piękne karty to tylko częściowe przykrywanie skurwysyństwa.



Kilka kilometrów dalej, w zbiegu Odry i Warty leży Kostrzyn. Mając pięć lat, często wyprawialiśmy się właśnie tam, odwiedzając rodzinę. Stojąc na brzegu Odry spytałem: a co jest za rzeką? Ojciec odpowiadał: Nic, koniec świata. Wspominał również, że mniej więcej około 1950 roku, kiedy jako pięciolatek przyjeżdżał tutaj, Kostrzyn wciąż cuchnęła: spalenizną i czymś jeszcze, czego nie był w stanie właściwie zdiagnozować.

Po drugiej stronie mostu odbieram na dworcu w Kietz Simone. Jesteśmy rówieśnikami o tym samym nazwisku. Od dwóch dni szaleje orkan i pociąg dalej nie jedzie. Nic nas nie łączy poza Translandią: ona wychowana w NRD, ja w PRL. Mieszka na Lichtenbergu. Jest malarką zafascynowaną Oderbruchem i berlińską bohemą lat 20. i 30. XX wieku. Razem oglądamy kolejne odcinki *Babylon Berlin*. Simone właśnie opowiada, jak kilka dni temu w jej kamienicy kręcono kolejne odcinki serialu. Jej mieszkanie zostało wynajęte i był w nim Volker Bruch grający Gereona Ratha i Liv Lisa Fries w roli Charlotte Ritter.

Tak chyba jest normalniej?

Dr MACIEJ J. DUDZIAK: antropolog kultury, kulturoznawca i eseista. Specjalizuje się w problematyce tożsamości kulturowych w XX i XXI wieku, form wspólnotowych oraz kondycji kultury. Autor wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz książek, m.in. *Syberia, Poza życiem* (1999), *Pejzaże (po)granicza* (2007), *Hermeneutyka pogranicza* (2011), *Czytać Europę. Flaneur w ogrodach pogranicza* (2014). W 2019 roku ukazała się jego pierwsza powieść *Mesjasz. Rękopis zbrodni*. W 2021 roku Maciej Dudziak, bazując na notatkach Alfreda Szklarskiego, wydał 10. tom przygód z cyklu o Tomku Wilmowskim pt. *Tomek na Alasce*.

WYZWOLONY

Maria Borcz

*Wolności nie można tylko posiadać, ale trzeba ją stale zdobywać, tworzyć.
Może ona być użyta dobrze lub źle, na służbę dobra prawdziwego lub pozornego.*

św. Jan Paweł II, Białoruś 1998

wyzwolony

błąka się wśród wydm
pomiędzy Nilem a Eufratem

w tyglu pustyni
ogień wypala
mannę przepiórki i namioty

tułaczka
powoduje rezonans
pomiędzy tym kim jest
a kim chciałaby być

jak Jonasz
ucieka przed
głosem sumienia
walczy o przetrwanie

nieświadomy własnej roli
wiotkim kręgosłupem
wkręca się
w cudzą

ping pong
ponad siatką myśli
częsta
zmiana stanowisk

duchową grabież
wypełnia handlem
sprzedaje i kupuje
siebie

z fantazją alchemika
 miksturą z intymności
 kiszonkami życiorysów
 konserwami z erotycznych doznań

z papryczkami chili bez skrupułów
 kogłem mogłem
 z jaj pękających zadufaniem
 farmazonami nadętych karków

targuje sobą po zawrót głowy
 do utraty orientacji
 mnoży poglądy
 jako koła ratunkowe

karczuje korzenie
 przesadza z roli w rolę
 według potrzeb
 strzyże swój życiorys

*Linia graniczna pomiędzy dobrem a złem, pomiędzy dobrocią a nikczemnością,
 przechodzi przez ten mikrochaos, jakim jest serce każdego z nas.*

Alessandro Pronzato

jak lampion bez płomyka
 rzeźbi
 misterną oprawę
 by schronić się przed Światłem

na poranionych fundamentach
 składa siebie
 w betonowej formie
 jako kamień węgielny

szuka światła
 poplątanym wątkom chce nadać sens
 niestety takiego płomienia nie da się
 pochwycić w zwinięte żagle

pragnie dotrzeć do głębi
zanurzyć się
w oceanie wiary lecz
by nie trudzić się
walką z falami
brodzi po płytyźnie

w miarę narastania
apetytu na życie
uzależniony od
jak powietrze od ciśnienia

przeciska się
pomiędzy pytaniami:

*jak kochać, jeżeli nie jesteśmy wolni,
jakże mamy być wolni, kiedy nie kochamy*

ks. Józef Tischner

deszcz tolerancji
zalewa ziemię
kałuże zataczają
coraz szersze kręgi

na grząskim gruncie
pęczniejają poglądy
tonie tradycja
tworzy się bagno

w tyglu historii
praży się doczesny ład
wytapia
plany
nadzieję
etykę
kairos

myśli walczą
z falochronami
podmywają grząskie

jednak
na grzbietach fal
niosą refleksy

Poniżony zawołał i Pan go usłyszał i wyzwoli z wszelkiego ucisku.

Ps.34,7 z hebrajskiego tłum. Roman Brandstaetter

rezygnacja
nie uwalnia od udręki
dopiero gdy rozum
pogasi pożary
słyszysz pozorne milczenie Boga

**...bądź odważny
gdy rozum zawodzi
bądź odważny
w ostatecznym rozrachunku
jedynie to się liczy...**

Zbigniew Herbert, Przesłanie Pana Cogito

MARIA BORCZ: poetka, pisarka, członkini RSTK. Debiutowała tomikiem wierszy *Tęczowa zabawa* (2007), kolejne tomiki to: *Najeżona oczywistość* (2009), *Gałązka jaśminu* (2010), *Bidul* (2011), *Z kałuży miasta* (2012), *Spożyci* (2014), *Światłocienie* (2014), *Zabłąkani we mgle* (2015), *Duchowy kanibalizm* (2017), *W hotelach świata* (2018), *Mikrochaos* (2016) i *W gąszczu niebieskich migdałów* (2022). W 2023 roku ukazał się zbiór wierszy *W pułapce miejsca i czasu*.

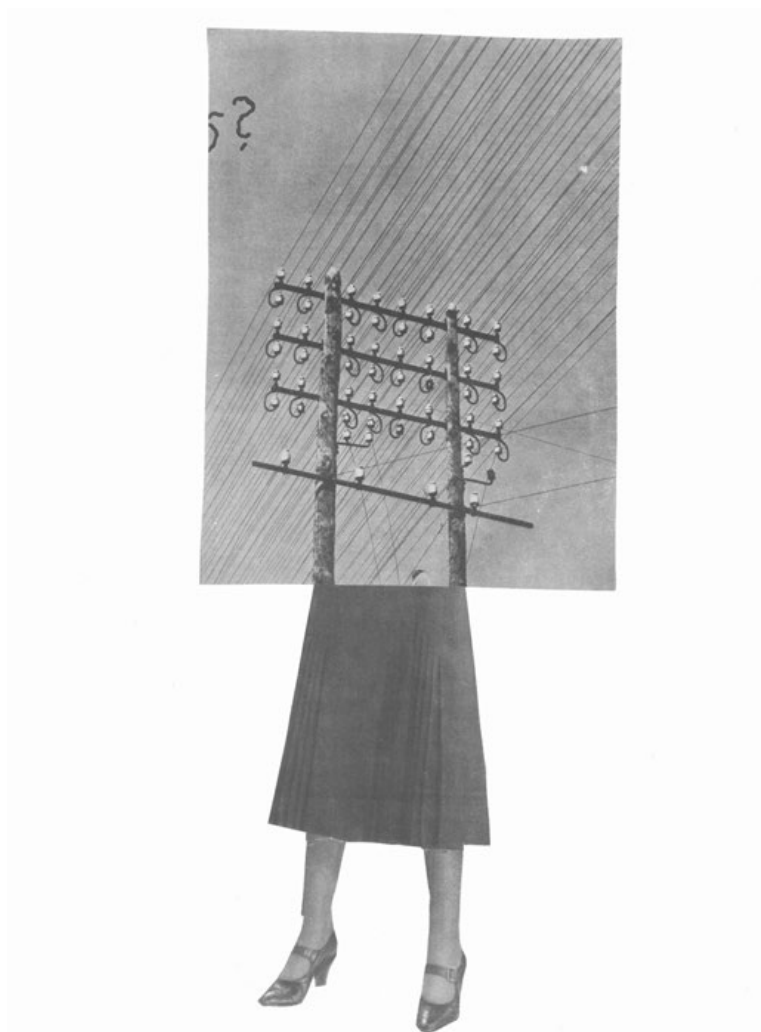
MOŻE

Łucja Fice

Myślę sobie.

Może żyjemy w Matrixie, czyli matrycy liczbowej, która stoi u podłoża wszystkiego (wg współczesnej nauki). MOŻE żyjemy wewnątrz ŚWIATA ŚWIATEŁ w MACIERZY, którą nazywa się ŹRÓDŁEM. MOŻE wszystko zbudowane jest z substancji myślowej jako wielki świat myśli (energii), który jest potęgą i MOŻE z niej wszystko jest zbudowane. MOŻE kierowanie określonych czystych myśli, w których zawarte uczucia stwarzają odpowiednio dobre, pozytywne sytuacje i przyciągają do naszego świata dobrych ludzi, a przechwytywana w umyśle „trująca” myśl infekuje nam życie? Każda myśl tworzy przyszłość i jest jedyną rzeczą, nad którą mamy władzę. Nowe myśli, w które próbujemy uwierzyć, nowe sugestie czy afirmacje mogą odmienić nasze życie i dobrze by było, by takie myśli zakodować w stanie hipnotycznym czy autosugestii przy uaktywnieniu twórczej fantazji, jak ja to robię. Uważam – JAKA WIZJA, TAKIE SPEŁNIENIE, bo myśl jest jak magnes, przyciąga zdarzenia. Jestem tego sama dowodem, od kiedy zaczęłam pracować ze swoimi myślami, od kiedy zaczęłam „nurkować” pod powierzchnię świadomości, bo tylko TAM staję oko w oko ze swoimi uczuciami i dopasowuję do nich swoje historyjki, jak dziecko, które w miejscu brakujących puzzli wypełnia lukę mazakiem. Zaprzestałam siedzenia w „piwnicy” i grzebania się w „starociach.” Zrozumiałam, że to bez sensu i celu. MOŻE ta MACIERZ to fraktalny ekran, jakaś żyjąca substancja, którą powinniśmy uważać za Boga, a MOŻE to tylko jakaś struktura neuronowych relacji, która później odbija nasz wewnętrzny stan duszy? MOŻE, MOŻE, MOŻE. Może dlatego ci, co uparcie dążą do celu, nie poddając się porażkom, osiągają sukcesy? MOŻE ten MATRIX odbija nasze potrzeby i wówczas działa prawo przyciągania (zasiewanie i zbiory). Nie będę robiła wykładu, bo nie jestem żadnym autorytetem i „wiem, że nic nie wiem”. Błąkam się tylko pomiędzy teorią innych cywilizacji, które nas stworzyły i możemy być tylko ich grą, a Bogiem, który jest przyczyną wszystkiego. Cholera! Chcę to wiedzieć! Wiem na pewno, że na materii i trzech wymiarach się nie kończy. Jest jeszcze czwarty wymiar. To wymiar duchowy. MOŻE są jeszcze inne? W którymś ze snów jakaś babcia powiedziała mi: „wstań, obudź się, tak długo już śpisz”. Ja na to „przecież nie śpię, rozmawiam z tobą”. Na to ona: „śpisz, śpisz”. Pamiętam tę osobę, mieszkanie i inne szczegóły. Konkluzja: wysyłajmy więc nasze marzenia na tę MATRYCĘ, a ona nam odpowie; nie traćmy przy tym nadziei i miłości do świata. MOŻE mam rację, a MOŻE NIE. Wiem, że przy odrobinie praktyki można osiągnąć spełnienie marzeń w postaci kreowania siebie samego. TO W NASZYCH WNEĘTRZACH ISTNIEJE OGROMNA PRZESTRZEŃ DO KREACJI PRZYSZŁOŚCI, CZYLI SCENARIUSZ NA DOWOLNE JUTRO. Ja je już formuję i tego życzę wszystkim, którzy mnie czytają.

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarzach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*), oraz wspomnień *Druga strona grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.



SEN O BIAŁYCH PTAKACH

Maciej Satański

Jest pewien gatunek ptaków, które zapadają w sen zimowy.

Gdy nadchodzą chłodne dni, po prostu zasypiają.

Ale jednego dnia zimy (a co roku jest to inny dzień) budzą się na chwilę. Mogą wówczas odlecieć tam, gdzie zawsze odlecieć pragnęły.

To prezent od Dobrej Białej Babci pilnującej upływu czasu i biegu rzeczy, ale wiedzącej, że każdy ma prawo do marzeń.

Jednak nie wszystkim ptakom udaje się zmieścić w czasoprzestrzennym oknie i zastygają jako lodowe kształty.

Przechodzący obok przypadkiem Dobry Biały Dziadek zmienia je wówczas w papier, by pamięć o nich nie stopniała jak lód.

By nie zniknęły – choć to przecież tylko ptaki ze snu.

Tak właśnie w Domu Praktyk Twórczych pojawiła się Choinka, której miało nie być.

Ale gdy jej bardzo chcemy – staje się.

Tak lub inaczej.

Kiedyś opowiadałem dzieciom bajki. Sam je wymyślałem.

Albo nie – same się opowiadały, gdyż bajek się nie wymyśla.

One są.

Choinka 2024

MACIEJ SAŁAŃSKI: jest rzeźbiarzem ceramikiem i garncarzem rzemieślnikiem oraz nauczycielem. Ukończył UMK w Toruniu, mieszka w Gudziszu. Od kilku lat prowadzi zajęcia w Domu Praktyk Twórczych w Kostrzynie nad Odrą.



PRZYPADKI I PORZĄDKI

Agnieszka Monika Olszewska

Matka nie była w stanie nadać jej imienia. Po dwóch kolejnych żałobach stanęła nad grobem swojej babki w wysoko postawionej ciąży trzeciej. Wiedziała, że to będzie znów dziewczynka. Ale tym razem już żadne imię nie było właściwe, by jakkolwiek uprawomocnić to istnienie. Przerobiła już i straciła wszystkie dziewczęce imiona. Za każdym razem była to przecież dziewczynka. Matka usiadła na ławeczce przy grobie swojej babki i poprosiła: „Pomóż mi. Trzeci raz tego nie przeżyję. Daj mi jakiś znak”.

Był to koniec lipca. Z drzewa obok odezwała się wilga. „Będzie padać” – odpowiedziała babka w głowie Matki. Matka rozejrzała się, szukając, skąd dochodzi śpiew ptaka i wtedy właśnie zobaczyła ten grób. Prosty, jasny, zadbane. Czarnymi, wyrazistymi literami wypisane wielkie imię i nazwisko: Valeria Medej. Nieoczekiwanie litery nie zamazywały się, mimo że z tej odległości, bez okularów, ze stwierdzoną dysleksją i ze łzami w oczach matka nie powinna była ich w ogóle rozpoznawać. Mogły się znać z babką Stasią, sądząc po miejscu pochowania. Wilga ucichła.

„Dobrze. Niech będzie Valeria”.

Matka Valerii sprawdziła jeszcze na wszelki wypadek, co znaczy imię dla jej córki: silna, mocna, zdrowa. W tym momencie tego właśnie od niej oczekiwała. Co za zbieg! Jaka łaska i nadzieja w tym imieniu od babki. Odetchnęła.

„Masz najlepsze imię, mała, na te wszystkie złe okoliczności”.

Zgodnie z nadanym jej imieniem dokładnie pierwszego dnia lipca w szpitalu powiatowym w Sulęcinie przyszła na świat Valeria Misiewicz. Szybki, dobry poród, waga 3,40, Apgar 10.

„Ma pani piękną, zdrową, silną dziewczynkę” – powiedziała potożna, która już ją pamiętała. W ten sposób Valeria znalazła swoje miejsce wśród żywych, ożywiając również swoją matkę po stracie dwóch córek.

Valeria od urodzenia była niewymagająca: pięknie jadła i przybierała na wadze, spała w nocy, nie miała kolek, rozwijała się podręcznikowo. Do trzeciego roku życia zdołała przekonać matkę, żeby ta nie oczekiwała katastrofy. Katastrofy nie będzie. Valeria będzie żyć.

Uroda Valerii była równie czytelna jak napis jej imienia na grobie ciotki Valerii. Po ojcu odziedziczyła Valeria koloryt, a po matce formę – harmonijną, eutroficzną sylwetkę. Miała ciemne, gęste, falowane włosy, czarne długie rzęsy. Jej czarne brwi unosiły się w górę jak natarczywe znaki zapytania na jasnym, nieskazitelnym czole. Oczy miała błękitne, przejrzyste, o ruchach żwawych, spojrzeniu uprzczywym, świetlistości nieposkromionej. Oczy świdy. Wwiercające się w tok,

strukturę myślenia rozmówcy na głębokość jego myśli i języka. Aż do zawahania – struktury, nie świdra. Aż do rozproszenia, podważenia, skruszenia konceptu. „Co to ja właściwie mówiłem i po co?” – wobec tych dwojga świadków ludzie tracili poczucie bliskości słów, które wypowiadali.

Valeria nie robiła rzeczy, które uznawała za zbyt nieokreślone. Jej uwagę przyciągały rzeczy proste, czytelne i wyraziste jak czarne litery na jasnym pomniku jej ciotki Valerii Medeji, po której miała imię. Być może dlatego właśnie zainteresowała ją matematyka.

Mama opowiadała czasem o wielkiej przyjaźni babci Stasi i ciotki Valerii, które pochowano blisko siebie, podobno na ich prośbę. Babcia Stasia zmarła niedługo po tym, jak straciła swoją siostrę duchową, ciotkę Valerię właśnie. Mama wspominała, że babcia życzyła sobie, żeby jej prawnuczka nosiła takie piękne imię na znak tej pięknej przyjaźni.

Trudno nie mogła Valeria rozpoznać porządku tej historii, co było dla niej dość nieoczekiwane. Mieszały się jej wątki i treści w tej pięknej historii. Później miała odkryć, że nawet daty się nie zgadzały, bo okazało się, że zmarły dokładnie na odwrót. Ciotka Valeria w opowieściach mamy raz była lekarką, innym razem śpiewaczką, a jeszcze innym razem nauczycielką. Zależnie od tego, jakich cech i zaangażowania oczekiwała w danym momencie od matki Valerii jej matka. Była to najbardziej nieporządna historia, jaką Valeria знаła, stąd w pewnym momencie porzuciła zainteresowanie egzaltowaną narracją snutą przez matkę. Zajęła się swoimi, bardziej doświadczeniowymi prawidłowościami, konstruując, niezależną od zmiennych oczekiwań matki, własną strukturę z rozpoznawalną i stabilną chronologią.

Niezwykłą zdolnością Valerii już od dziecka była jej umiejętność do odczytywania porządków i rytmów. Porządek rozpoznawania porządków był zawsze taki sam: Obserwuj, Testuj, Przekraczaj. Żaden krok nie mógł być pominięty, żaden stan rzeczy nie był nieprzekraczalny. Stąd Valeria szybko dała się poznać w przedszkolu i w domu jako testująca zastane porządki. Czyniła to jednak w granicach porządków ról, nie przekraczając swoich uprawnień, stąd też nie wywoływało to oporu i protestów jej opiekunów. Wywoływało raczej zmiany oddolne i funkcjonalne.

Bywały sytuacje, gdy odkrywane przez Valerię porządki wykraczały poza umowy społeczne i trudno było jej z nich zrezygnować. Tak było na przykład z liczeniem. W sposób zupełnie dla niej oczywisty, po odkryciu tego, co następuje po liczbie 10, w wieku lat czterech, Valeria doliczała pewnie i swobodnie dalej: siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia (17, 18, 19, 20). I na tym właściwie powinno się skończyć liczenie lub powinna pojawić się jakaś uzasadniona względem dotychczasowego porządku liczenia nakładka np. drugie jedenaście. Valeria widziała nawet taką liczbę: 211. Nieoczekiwanie jednak w tym

momencie porządek zmieniał się i należało unieważnić dziesiętnaście, a w jego miejsce zapisać i wypowiedzieć magiczne i zupełnie nieprzystające do dotychczasowego ciągu „dwadzieścia”. Czyli co?

Ucząc się liczenia, Valeria odkryła, że porządki nie są nieskończonymi rytмами, ale pojawiają się w nich nagle różne warunki i metazasady, wymagające również od niej samej odkrywania, ale na jakimś zupełnie innym, niewerbalizowanym jej przez dorosłych poziomie. To rozpoznanie przydało Valerii jeszcze większej czujności oraz nowego ukierunkowania wzrostu kompetencji: znajdź metazasadę i znajdź punkt przemiany porządku względem tej metazasady. Od tego momentu Valeria wiedziała już, co odpowiadać na pytanie, kim chce zostać w przyszłości. Zostanie Wielką Matematyczką. Na wszelki wypadek, żeby uniknąć dalszych pytań wobec nietypowości swojej pasji na etapie drugoklasistki, Valeria dodawała – Zostanę Wielką Matematyczką jak Ciocia Valeria. I to było już bardziej zrozumiałe wyjaśnienie dla wszystkich dorosłych, którzy upominali się o rozwinięcie, jak gdyby nie wystarczyła im krótka, prosta odpowiedź. Matka Valerii również nie śmiała kwestionować takiego kontekstu.

Trafność tego autorskiego wyjaśnienia docierała do Valerii w toku jej dojrzwania, dozując jej kolejne fakty w porządkach o znaczeniu nader osobistym wobec przyrastających stopniowo możliwości poznawczych i emocjonalnych. Najpierw, po dobrym opanowaniu techniki czytania, Valeria odkryła, że imię na grobie duchowej siostry babci brzmi Valerij Medej. Gdy Valeria opanowała umiejętność czytania ze zrozumieniem, odkryła listy babki na strychu, dowiadując się z nich, że wujek Valerij był w swoim czasie uznanym rachmistrzem, z którym babka Stasia miała krótki romans. Gdy Valeria nauczyła się czytać między wierszami, pojęła, że był to romans krótki, ale owocny, czego skutkiem była jej, niepojęta w rodzinie artystów i pisarzy, pasja do matematyki.



WERNISAŻ

Władysław Edelman

Byłem już po prostu zmęczony. Natłokiem wrażeń, głośną muzyką, szumem rozmów przybyłych tłumnie ludzi. Zmęczony psychicznie. Tak, tak to można chyba określić. Trzymając jeszcze w dłoni kieliszek wina, rozejrzałem się, gdzie można by się choć na chwilę schować. W końcu dojrzałem ukryte za parawanem drzwi. Nie miały żadnej tabliczki w stylu „Pomieszczenie służbowe” czy „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”, nacisnąłem więc klamkę, wszedłem. Gdy oczy przyzwyczały się już do ciemności, w półmroku dostrzegłem stół. Na jednym z krzesel, których było trzy lub cztery, ktoś siedział.

– Można się przysiąść? – zapytałem. Odpowiedziała mi cisza, kobieta poruszyła się tylko nieznacznie.

Była raczej niewielkiego wzrostu, widziałem tylko jej głowę. Miała czarne, kręcone włosy, twarz tonęła w mroku. Zapytałem, czy może przynieść jej kieliszek wina, ale nie odpowiedziała. Sącząc powolutku swoje, oparłem się wygodnie, wyprostowałem nogi.

– Trochę męczące takie imprezy, prawda? – zagadałem.

Po drugiej stronie długiego stołu nadal panowała cisza.

– Pani też potrzebowała chwili ciszy, prawda? Tak, rozumiem to doskonale. Ale trzeba przyznać, że wernisaż przygotowany jest rewelacyjnie. Te obrazy! A jakie nazwiska! Lubi pani sztukę? Głupie pytanie, przecież inaczej nie przyszłaby pani na wystawę. Widziała pani ten obraz na wprost wejścia? Na pewno pani widziała. Ten największy w sali. Jaka głębia wyrazu, jakie przestanie. Niby nic, tylko czarny element na białym tle. Wygląda zupełnie jak włącznik światła, a symbolizuje Wszechświat. Może Nieskończoność, jak pani myśli? Zmusza do myślenia. Jakby ktoś chciał, mógłby nas wyłączyć. Pstryk, i nas nie ma. A ta błyskawica? Powiesili ją na tablicy rozdzielczej, że to takie niby mało ważne, a symbolizuje zagrożenie świata. W każdej chwili grozi nam zagłada. Ktoś coś włączy albo wyłączy, rozpocznie się burza i zostaniemy wrzuceni do czarnej dziury. Bo wie pani? Czarne dziury pochłaniają wszystko, nawet światło. Nawet światło nie może się z nich wydostać. To straszne. To przedstawia właśnie ten obraz. Ten czarny kwadrat. Doskonale czarny jak czarna dziura! Mam wrażenie, że tutaj, w tym pokoiku, czarna dziura też wciągnęła światło, ha, ha, ha! I nie mogę pani zobaczyć! Przepraszam, to był głupi żart.

Przez chwilę milczeliśmy. Przez drzwi docierały tylko słabe odgłosy rozmów i nieco mocniejsze dźwięki muzyki. Muzyki, która także symbolizowała zagrożenie, upadek cywilizacji. Muzyki, która dobiegała zewsząd, brzmiała jak natarczywe odgłosy młotów pneumatycznych, wiertarek, która skowyczała i wwiercała się w mózg. Tak, organizatorzy pomyśleli o wszystkim.

– Na pewno nie chce pani wina? Nie? A ja sobie przyniosę jeszcze kieliszek, tak dobrze się z panią rozmawia.

Podniosłem się z krzesła i podszedłem do drzwi. W tym samym momencie ktoś otworzył je gwałtownie z drugiej strony tak, że wpadliśmy na siebie. Obaj byliśmy zaskoczeni i razem zawołaliśmy: – Ups, przepraszam!

Mężczyzna zapalił światło i zawołał: – No, Picasso, idziemy, już po imprezie. – I zabrał swojego pudła do domu.

Wszedłem do pustej sali. Faktycznie, było po wszystkim. Nie było nawet wina.

WŁADYSŁAW EDELMAN: autor opowiadań, humoresek, tekstów satyrycznych, wierszy, fraszek i limeryków. W 2022 roku wydał humoreski i opowiadania *Anomalie*, a w 2024 roku – tomik poezji *Niepotrzebne skreślić* nominowany do Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza oraz *Anomalie do kwadratu*. Publikuje w Lubuskim Piśmie Kulturalno-Literackim „Pro Libris”, czasopiśmie ZLP Oddział w Zielonej Górze „Pasje Literackie” i w internecie. Jest członkiem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, Literackiego Kabaretu HALLO oraz Grupy Improwizacyjnej Trójkąt do Kwadratu.



SPOTKANIE Z HETMANEM WIELKIM SAPIEHĄ

Paweł Skiba

Parę chwil później dało się słyszeć kroki w krużgankach i kilku ludzi weszło do pokoi możnowładcy. Na ich czele stał porucznik Witold Jawgiel, za nim zaś pan Wieńczyśław Leliwa. Onieśmielony widokiem wszechwładnego Sapiehy, młody Piotr Krzesiński spoglądał ciekawie zza ramion wuja, zerwawszy z tła czapkę, a rozpromieniony ksiądz Zefiryn, który – górując nad towarzyszami – założył tymczasem dłonie za plecami – stał cicho jak mysz pod miotłą, siląc się na udawaną skromność.

- A duchowny *tu qui titulo* grabi mi się nieproszony? – zapytał go poirytowany hetman, mierząc zdziwionym spojrzeniem.
- Jego miłość, kazależ wotać do siebie nieulekłych Hektorów wojennych, to i jestem wedle życzenia!
- Kazależ oficerów imć pana Wincentego Gosiewskiego przywołać, odbiegłych spod Werek, abym języka wzięł od naocznych świadków zdarzenia!
- Czyli z tego wnoszę, że pan hetman o wojskowych sprawach zamierza delibrować! Tym lepiej zatem, żem się stawił, bo jak powiadają doświadczeni dowódcy: mądrych głów do rady nigdy za wiele, gdy światłe czoto przy czele! A sam, nie dalej niż kilka tygodni temu, na pozostałe mi się ostatnie ucho słyszałem, jak jego miłość na uczcie gościom wspominałeś, że głowę mam wielką...
- Brzuch masz wielki, nie głowę!
- I rozum zdumiewający...
- Oskomę zdumiewającą!
- Nie wspominając o przebiegłości i eksperencji wojennej...
- Kundzicz! – zakrzyknął poirytowany hetman.
- Rozkazuj, jego miłość! – jak struna wyprężył się ojciec Zefiryn, wyrastając o głowę ponad przybyłymi oficerami.
- Kundzicz, gdybym cię tak nie lubił i gdyby mi zbrzydło słuchanie tych bajdurzeń – pomijając zaiste całkowicie jegomości nikczemną pobożność, boś – mimo święceń kapłańskich – nie mniej grzeszny od stojącego tu Francuza, to bym ci kazał iść precz ode dworu!
- Już taka moja natura – w odpowiedzi wotał do niego rozanielony duchowny – że mnie wszyscy poważają nad innych za mą szlachetną duszę! Będąc raz na śniadaniu w Boże Narodzenie u papieża, lat temu z pięć, o ile mnie pamięć nie zwodzi, nie, sześć, jeśli dobrze liczę, Ojciec Święty mnie pośród kardynałów komplementował pod niebo...
- Poczobut! – przerwał mu rozbawiony Sapieha, któremu złość na duchownego łacno przechodziła, bo ten ostatni potrafił go do też rozweselić i na krótki moment przegonić z głowy czarne troski. – Pies cię trącał ogonem! Jaki papież?

Co? Kiedy? Wiarołomco jeden! Dobrze wiesz, że ci nie wierzę, a świątek piątek mnie kłamiesz! Pamiętaj, ja ciebie ani nie wynoszę nad innych, ani nad innych nie przedkładał, jeno cierpliwie znoszę, karmię, poję, ale do czasu! Miej to na uwadze, księżulo – do czasu! Potem za bramy wyrugować rozkażę z całym właściwym majdanem, który się pomieści za ledwie w jednej szmacie na kiju!

– Pokornie dziękuję za tak wielką łaskę pańską, która mnie otacza!

Kiedy następnie hetman przyjrzał się pokłon mu oddającym: Witoldowi Jawgielowi, panu Wieńczysławowi Leliwie i Piotrowi Krześcińskiemu, nim zabrał głos, ojciec Zefiryn rzekł cicho:

– Pusto na stole! Nawet suchego okrucu dla wróbla czy krzty stoniny dla sikory! Po co lażem na tę przeklętą górę? Po drodze schodów chyba ze sto przerażowałem! Co ja prawię, sto? Nie skłamię, jeśli powiem dwieście! Lepiej mi było w moich skromnych progach na bartogu plecy położyć i po brzuchu się drapać, z czego miałbym i tak więcej pożytku.

– Coś ksiądz masz nadto do powiedzenia? – dopytywał Sapieha, który z głębi komnaty nie dostyszał jego stów.

– Powiadam sobie jeno, że kazałbyś hetmanie podać wino, bo ziąb na dworze, aż kości tężeją w stawach. Łamię mnie od kilku dni w nodze na mróz, którą to kończynę za młodu złamałem, w słusznej zresztą sprawie, dlatego się o coś tęższego przymawiam; inaczej bym milczał unieżenie i nie prosił.

Sapieha klasnął w dłoń. Stojący przy drzwiach sługa ruszył się po gąsiora, ale zatrzymał się w pół drogi, gdy ojciec Zefiryn zawołał do niego grzmiącym głosem:

– Jeno pamiętaj synu, że nie byle żołdaków czy wiarusów pan hetman podejmuje, ale najznamięnsze szable i umysły Rzeczypospolitej. Przeto antatek zmurszały wina nadreńskiego z Niersteinu podstaw, byle szybko! Na Boga, serdeńku, co tak oczy na mnie wyłupiasz? Prędko! Prędko!

Paź spojrział na hetmana, ale ten tylko machnął ręką, co znaczyło gest przyzwolenia.

– Niech stracę! Już i tak ksiądz mi osuszyłeś całą piwnicę!

– Bo pragnienie mam dotąd nieposkromione po wielkim poście, gdy ciało swe przez czterdzieści dni umartwiałem samym czerstwym chlebem i wodą.

Hetman zawyrokował jednak na to nader szybko i kąśliwie:

– Aha, pamiętam ten waściny post, od którego się srodze zbrzechaciesz!

– Jakże to?

– Bo widzę, że przymilasz się jego miłośność do starej gorzałki i strawy, jak kot do pieszczot!

– Ależ skąd znowu! Wzdęto mnie wówczas z głodu na chwałę Pańską! – zawołał egzaltowany Kundzicz.

Nim jednak służba powróciła z jadłem i winem, Poczobut, chcąc skierować rozmowę na inny temat, gdyż w rzeczy samej wspomniany post zdawał się i jemu

wielce niejednoznaczny, zwrócił się do towarzyszy zaborzańskich, wcześniej pytając zapobiegawczo wzrokiem hetmana o przyzwolenie:

– Siadajcie, moi dobrodzieje, siadajcie; naród chrześcijański najlepiej delibruje, gdy siedzi, bo to zauważcie sami, że i dech jest swobodniejszy i statura czteka jakaś taka przychylniejsza!

Nie czekając, aż wszyscy zajmą swe miejsca, Kundzicz umościł się na krześle niczym kura na grzędzie, a gdy przyniesiono parujące piecyste, jako pierwszy złapał pachnący, jagnięcy udziec szczerze posypany zielem i wgrzył się w niego ze smakiem, zapijając rozrywane od kości kawały czerwonym winem, które mu służebny polał do krysztatu.

– To mój dobrodziej w piątek mięso spożywa, nie wspominając męki Chrystusa na krzyżu? – dopytywał się hetman, chytrze mrużąc oczy. Sprawiało mu radość, ilekroć pochwycił Kundzicza na przeniewierstwie kościelnym regułem. – Teraz mi się nie wyktamiesz!

– To dzisiaj piątek? – pełnymi ustami zapytał zdziwiony duchowny – Oj, zdaje się, iż przeoczyłem agendę. Wybacz, słodki Panie Jezu! W rozgwarze wojennym dzień za dniem tak mija, iż czteki gubi rachubę!

Dopowiedziawszy tych słów, ojciec Zefiryn swoją drżącą ręką ujął talerz z piecystym, odsunął się od stołu, po czym, powstawszy ciężko z krzesła, jął maszerować dookoła siedzących, stawiając kroki. Idąc, potykał kawały mięsiwa i mrużył oczy z ukontentowania.

– Co jego miłość czynisz najlepszego? – wołał do niego rozbawiony Colber.

– Dziś z suchotami nie jestem!

– Dalibóg! Jakże to?

Kundzicz lekceważąco ruszył ramionami i odparł mu, nie przerywając marszu:

– Papież zezwala katolikom będącym w podróży spożywać mięso w środy, piątki i święta!

Wszyscy śmiali się z owej, bądź co bądź, osobliwej interpretacji zezwoleń watykańskich i peregrynacji olbrzymiego duchownego wokół stołu, szczególnie zaś porucznik Witold Jawgiel, który szczerą i niezachwianą przyjaźnią darzył wielkoluda. Przebywając w jego towarzystwie od niemal pięciu tygodni i rozmawiając podczas drogi w siodle i na popasach, wiedział zaiste, że ten ostatni nie gniewa się, ilekroć ktoś żartem o nim rozpowie, li tylko jednak, gdy prawdziwie. Z tej przyczyny stary żołnierz mówił przy nim swobodnie:

– Ojciec Zefiryn modli się przed figurą, a diabła ma za skórą!

– Żebyście wiedzieli, waszmościowie! A ciebie, panie Witoldzie, cenię i lubię, więc ci poradzę szczerze, a i wy jegomościowie słuchajcie, co wprost sklasyfikuję i uczcie się ode mnie. Otóż bowiem powiadam wam, co w Ewangelii także odnaleźć można zapisane, iż lepiej grzeszyć i żałować, niż żałować, że się nie grzeszyło!

– Oto mi nauczyciel! – zawyrokował hetman, – Szalbierz, nie duchowny!

– A to bezbożna komparycja! – zawołał Kundzicz, ale gdy ten spojrział nań groźnie, Poczobut z uszanowaniem dopowiedział, połykając co i rusz nowe kawały mięsowa – Ale gwoli słów jegomości hetmana wielkiego: jam jest!

Przymówkom do ojca Zefiry na było końca. Ten zaś nie wpadał w gniew, ale przeciwnie – kłaniał się i dziękował, bo jak sam powiadał, tylko wielkie osoby mają sobie mrowie nieprzychylnych; na robactwo nikt nie zważa, no chyba że na wszy, które są wyjątkowo nachalne i wiele dobrej krwi mogą napsuć człowiekowi.

Chociaż pan Wieńczysław także się rozweselił, to jego twarz zdradzała, że w nim wrze i gotuje się zdrowo. Teraz, gdy pojmano pana Gosiewskiego, a jego wojska rozbito, Sapieha miał być tym, komu odda swe usługi, a życie i zdrowie dla ratowania ojczyzny. Lecz jakowaś niechęć i rozdrażnienie zawładnęły duszą i umyślem żołnierza na widok dumnego magnata, tak dalece różnego od wielkiego wodza, jakim mienił się hetman polny Wincenty Gosiewski. Na domiar, do granic szaleństwa pobudzała go rozpacz nad własnym losem, którego zmienne koleiny rzuciły go tam, gdzie się tego spodziewał najmniej i gdzie zarzekał się, że noga jego nie postąpi.

– Toż jeszcze zeszłej zimy – powiadał sobie w myślach – byłbym całe swe mienie postawił o zakład, iż nigdy przed Sapiehą czoła nie pochylę bez własnej ujmę! A tu masz! Licho przyszło! Złe przyszło i oto siedzę sobie przy stole i krtuszę się taskawym jadłem. Przeznaczenia chwila – ot! mała jego krotochwila – przewraca życie człeka do góry nogami.

Z zamyślenia wyrwały żołnierza słowa skierowane do niego. Sapieha zwrócił się bowiem doń wprost i zapytywał:

– Mości panie namiestniku. Powiadaj waść, jak to było pod Werkami? Różne głosy o bitwie chodzą i słyszemy o niej przeciwne relacje.

– Jego miłość – odparł mu na to pan Wieńczysław, mimowolnie lekko pochylając głowę przed słuchającym – słowa mają to w swej naturze, iż powtarzane z ust do ust zniekształcają się znacznie. Przeto jedno zdarzenie, po wielokroć przez ludzi opowiedziane, inne całkiem może mieć od pierwotnego opisanie!

– Prawda jest!

– Prawda! – podchwycili pozostali.

– Dlatego bezwarunkowo mówić winien ten, kto widział i wie, a nie ten, kto słyszał i zdaje mu się jeno, że wie!

– Po dwakroć prawda!

Pan Wieńczysław, znać podrażniony wielce, wypalił jak z arkabuzu:

– Zatem było tak: pobili nas, a myśmy z siostrzeńcem uszli w las! Wszystko!

Zdziwiony Sapieha zdawał się wpadać w złość, przypuszczając, że oficer sobie z niego kpi jawnie i prosto w oczy. Snadnie można to było poznać, bo dumnemu hetmanowi usta zadrgały, a krew rzuciła się na czoło i lico.

Kundzicz, widząc, że w dynaście wrze i że burza jest tylko kwestią czasu, wtrącił się natychmiast do rozmowy:

- Seneka nie uczył waści oratorstwa! To pewne, panie Wieńczystawie, żeś jego *Oratorum et rhetorum sententiae* nie studiował!
- Bo w tym czasie wojny się uczyłem, nie szcędząc dla ojczyzny najlepszych lat życia i zdrowia!
- Z ksiąg też wiele dobrego dla rozumu wynieść można – mówił hetman, wolno cedząc wyrazy przez zaciśnięte skurczem usta, zapominając wszak, że i on sam pisanego słowa nie znosił i nie potrafił i że rażące błędy czynił niemal w każdym zdaniu, przeto się zawsze wyręczał pisarczykami.
- Ale czytanie nie wyrobi ręki do szabli! – rzekł mu na to imć Leliwa. – Kto chce czytać, niechaj czyta! Ja mu nie wzbraniam! Kto chce zostać oratorem, niechaj tedy miele ozorem! A kto żołnierzem się widzi, ten niech żelazem macha i wywija od młodości!

Hetman patrzył przez moment spod przywartych powiek na namiestnika, po czym ozwał się tonem nieznośnym sprzeciwu:

- To jak było pod Werkami?
 - Na wszystkich świętych! Mów, panie Wieńczystawie! – zaklinał go ojciec Zefiryń.
- Pan namiestnik, poznając, że się nijak nie wykpi od opisu, opowiedział ze szczegółami przebieg bitwy, nie zatajając swoich uczuć i przemyśleń, z których chciał się wypowiedzieć, sumienie oczyścić i zrzucić kamień z serca. Zakończył na tym, iż go pan Jawgiel pojmał w taką niewolę, którą mu życie zratował.

Ojciec Zefiryń patrzył na złamanego żołnierza i żał go brat wielki nad nim:

- Wyglądasz waszeć gorzej niż strasznie!
- Bo mnie srodze boli, że tylu szlachetnych obywateli mieli wojenną biedę! Niegdyś, czasu wojen, myśmy szli do sąsiadów, a gdzie nasze kopie, gdzie nasze żelazo, gdzie stukot podkutych kopyt, tam była dumna Rzeczypospolita. Dziś wszyscy sąsiedzi u nas, bo gdy majestatu brak, gdy poszanowania brak, gdy karność brak, chwije się kraj w posiadach. A przyznacie mi rację, mości panowie, że na pochyłe drzewo to i każda koza skacze, nawet ślepa i kulawa!

Sapieha milczał zamyślony. Milczeli i inni.

- Chrystus dopomoże! – zawałał jeden Kundzicz, zrywając się z krzesła. – Oj, widzi mi się, że Pan Bóg jeszcze przeciw naszym nieprzyjaciołom utoczy taką kulę, że i armaty akuratniej chyba nie znajdziemy, aby z niej wystrzelić! Wspomnicie moje prorocstwo!
- Niechaj więc Pan Bóg pospiesza! I apeluję, aby się nie pomylił i kul armatnich Moskałom wypadkiem jakim nie darował!
- Bluźnierstwo, panie Wieńczystawie, nie przystoi żołnierzowi, zwłaszcza tak znacznemu, jak ty! – poważniejąc, odparł mu ojciec Zefiryń. – Pan Bóg nie rychliwy, ale zawždy sprawiedliwy. Nim nastaną ostateczne Trybunały, sądy niebieskie poruszą i ziemskie sprawy. Car i jego żołdacy zdadzą jeszcze relację z plugastwa i niegodziwości. Miej ufność, prawy rycerzu i nie rozpaczaj, jeno

patrzaj, jak nieprzyjacielowi zaleźć za skórę. Rób swoje, co też ci rekomenduję ze szczerego serca i wiernej przyjaźni.

– Najwierniej będziesz służył krwawiącej ojczyźnie, panie Leliwa, gdy się zaciągniesz w służbę pod moją zwierzchność – mówił stanowczo hetman. – Czasu wojen śmierć kosi równo żołnierzy i oficerów. Tych ostatnich mi potrzeba! Proponuję temu wszech i wobec – weźmiesz waszeć chorągiew karną, ćwiczoną, zbrojną nie lada jako, gdyż skrojoną z mojego skarbu. *Nemo dat, qui habet*; a ja mam siła szabel u boku, więc daję, bo sam nie podołam licznym zadaniom, a słyszę o wasści jako o znamenitym oficerze. Trzeba mi afidowanych i ambitnych ludzi, na których bym w tych okurencjach scedował nie mało obowiązków ojczyźnianych.

Pan Wieńczystaw spojrzął na hetmana zdumiony, nie dowierając własnym uszom:

– Cała chorągiew ludzi pod moje dowodzenie?

– Jak powiedziałem, tak uczynię! Dam!

Żołnierz zawahał się, bo mu się poczęło mieszać we łbie. Miał postępować wedle sumienia czy brać siłę chłopa i czynić Moskałom ekstorsję, błyskając żelazem po oczach? Ale, ale – myśli jak błyskawica tłukły mu się w głowie – czy wtenczas nie zdradzę pana Gosiewskiego, idąc w służbę do partii buty i rozłamu; do frakcji chaosu i rozprężenia? Z drugiej strony – co zrobię, gdy nie obejmę chorągwi? Nóż co? Będę się tułał jak wesz od karku do kudłów. I o tym przybędzie, co go mam na barkach i z którym zaiste nie wiem, co uczynić, muszę rozważyć! Doma go nie pošlę, bo to impreza niebezpieczna, skoro Rosjanie wokóło. Pan Witold też nie spieszy mi się wcale brać sobie zięcia dla córki. Ledwo zamieni z nim parę słów i czasem typnie nań taskawszym okiem. W bitwach znowu niebezpieczeństwo; jeżeli mu się krzywda stanie, siostra mnie się wyrzeknie i przeklnie po kres żywota! Co czynić, co robić, gdy wybór między dwiema ostatecznościami. Istna dilemma!

– Jak więc panie oficerze? Bierzesz wasć chorągiew petyhorską? To moja ostatnia propozycja! Potem nie odwołuj się do mojej woli, gdy zmienię zdanie! Prosić nie lubię i nie mam we zwyczaju! Gdy niemiła bogu ofiara, powraca cielę do stodoły! No? Słucham!

Panu Wieńczystawowi twarz stężała, gdyż krew popłynęła wartkim strumieniem w żyłach, toczona sercem bijącym jak oszalałe. Spojrzął na hetmana. Z zaciśniętych ust wyszły mu słowa:

– Wezmę chorągiew pod dowodzenie z woli waszej mości, ale przybocznym mi będzie krewny – tu oto obecny Piotr Krześniński.

Hetman obejrzał się na młodzieńca, zmierzył go beznamiętnym wzrokiem i odparł krótko:

– Rób wasć z nim, co chcesz!

Krześniński spojrzął na wuja. Może zamierzał coś rzec, ale groźne spojrzenie pana Wieńczystawa, wymierzone ku niemu stanowczo, go zniechęciło. Spuścił wzrok na stół i tak już pozostał do końca wieczery.

Na tych i podobnych rozważaniach zeszło towarzystwu posłuchanie u hetmana. Późno w noc, gdy gromadny pobrzęk ostróg odbijał się od sklepień sztyłwiewickich krużganków, dostyszeć można było stłumione słowa duchownego, który tak prawił:

- Wstąpcie do mnie, mości panowie! Moja skromna Betlejemka gotową jest na przybycie takich królów, jakich mi los spuścił! Upraszam usilnie, wstąpcie na mą kwaterę i nie opierajcie się! Dam ja wam posmakować podstarzałego półtoraka, którego trzymam w kredensie w gąsiorze zmurszałym. Bo widzicie sami, uraz powziąłem po dzisiejszych konwentykielach do pana hetmana, ale mu tego broń Boże, nie mówcie i Francuzowi też tego nie powtarzajcie, bo ten co usłyszysz, zaraz pokornie donosi! Otóż hetman częstował nas nader kwaśnym winem, aż mnie fluksja dopadła. Poniekąd nie dziwię się temu, bo Sapieha dzień w dzień popija wodę po kiszzonej kapuście, widać kwaśne lubi, od czego się zakisł i zsiadł. Starczyłoby go wycisnąć przez lniane płótno, kładąc pod deskę z kamieniem! Ot, przynajmniej byłby z niego twaróg tłusty dla wojska, gdy z głowy jego żadnego pożytku! Co innego ja, który od młodości konfekty lubię i takie też mam słodkie usposobienie do ludzi! Przeto żeby uśmierzyć ból zębów, muszę przepłukać gardło czymś lepszym. Ale sam nie będę pił, bo mi tego zakazują święcenia duchowne! Co innego w miłym towarzystwie! W kompanii zacnej (a za taką mam waćpanów!) trunek szybciej się osuszy, ale wiadoma to rzecz – o wiele lepiej smakuje! Zgoda zatem, moi mili druhowie?
- Zgoda! Niech tak będzie! Szkoda nie posmakować takiej słodyczy, jaką obiecujesz jego świątobliwość! – uleciały w noc hurmem wyrzeczone słowa.
- Zatem prędko, prędko... – odpowiedział im niknący w ciemnościach, tubalny głos.

PAWEŁ SKIBA: rocznik '82, gorzowianin, absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i Wyższej Szkoły Bankowej w Toruniu. Radca prawny oraz licencjonowany pośrednik w obrocie nieruchomościami. Z zamiłowania historyk, zwłaszcza w tematyce polskiej Sarmacji.



OKAZJE HEGENA

Andrzej Haegenbarth

Okazja do pogadania

Jest zima, późne popołudnie. W taksówce wiozę prace na zbiorową wystawę. Co chwilę stajemy w tłoku. Kierowca zagaja rozmowę, mówi o zmianie trasy. Później dialog się rozkręca i dotyczy sławnych ludzi. Okazuje się, że elokwentny i usiłujący myśleć taksiarz kiedyś wioził kompozytora Krzysztofa Pendereckiego i powiedział: – To wyniosły facet, nie zauważający maluczkich. – Pewnie chciał z nim pogadać, a kompozytor zajęty swoimi sprawami nie miał ochoty na konwersację. Wiadomo, że był człowiekiem zapracowanym i mówił tylko tyle, ile trzeba. Taksówkarz po wyrażeniu opinii rzekł: – Ja sobie cenię zdanie prostych ludzi. A pan? – Obdarzonych oryginalnym talentem, wybitnie inteligentnych, sprawczych i skupionych na swoich zadaniach. – Lecz gdyby miał pan wymienić jedną cechę, co by to było? – Dobroć.

★

Zmarnowana okazja

Wczoraj na Głogowskiej w Poznaniu szybko chciałem znaleźć się na przystanku tramwajowym. Nagle przed wejściem na pasy jakaś kobieta w średnim wieku (nie Tajka) zniecka złapała mnie za rękę, pytając, czy jestem zainteresowany dziesięcioma darmowymi masażami?

★

Wernisaż, czyli okazja do najkrótszej recenzji świata

Nie ja ją napisałem. Została wypowiedziana przez dobrego malarza, obecnie profesora Uniwersytetu Artystycznego w nieistniejącej już Galerii Za Bamką w Poznaniu. Po otwarciu wystawy pewnego wykładowcy artysty spóźniony, ale wzmocniony dużą dawką napojów wysokowych, więc rozochocony, spocony i zziębnięty J. S. z impetem zleciał po schodach w tłumek wernisażowych gości. Pozbierał się i chwiejnym krokiem podszedł do dużego obrazu, przed którym stał zadowolony z siebie jego autor. Spojrzał na kompozycję i zapytał: – Na chuj malujesz?

*

Okazja do refleksji

Podczas świętowania 10-lecia związku siedemdziesięcioletnia kobieta w obecności niewiele od niej starszego kochanka zastanawia się: – Miałam pięć czy sześć orgazmów? Szkoda, bo w taką piękną rocznicę warto byłoby dojść do dziesięciu. – Czy dojrzałym marzycielkom wydaje się, że ich wybranek powinien zaludniać pustynie?

*

Okazja do pomądrowania się

– Jakie kobiety są najlepsze? – spytał mnie znajomy, który z jakichś powodów uznał, że znam się na płci pięknej. – Najlepsze są takie, którym nie trzeba mówić: *Bez starania placków nie ma*, bo same o tym wiedzą. – To znaczy uległe? – Nie, uczące się od swoich facetów, czyli inteligentne. I potrafiące wyrazić własne zdanie, m.in. po to, abyśmy mogli przejrzeć się w nich jak w lustrze i dostrzec swoje niedoskonałości. Poza tym takie rozumne istoty mają większy temperament niż inne. Są więc seksowne. – A jeśli nie spotkam kobiet posiadających wymienione zalety? – To powiedz tym, na które natrafisz, żeby się z nimi męczył ktoś inny.

ANDRZEJ HEGEN HAEGENBARTH: foto-grafik, autor książek, artykułów i szkiców monograficznych o sztuce współczesnej. Ma w dorobku książki: *Sztuki plastyczne w Poznaniu 1945-1980* (1987, współautor), *Eros i współnicy* (1989), *Wielka miłość i dewiacje* (1990), *Eros i znawcy* (1994) i *Być artystą!* (1994) oraz wiele wstępów do albumów, katalogów i wywiadów z artystami. Współpracował m.in. ze „Sztuką”, „Wprost”, „Nurtem”. Miał kilka wystaw indywidualnych i wziął udział w kilkudziesięciu prezentacjach zbiorowych.

DZIWNE LOSY MATYLDY KRONBERG

Katarzyna Sztuba-Frańckowiak

Chatupnicy z puszczy

Mathilde Margarete Kronberg urodziła się 12 stycznia 1899 roku w maleńkiej wsi Mokrzec w powiecie Międzychód. Była córką chatupnika Wilhelma Kronberga, czyli biednego chłopa, który pracował na roli i mieszkał kątem w zabudowaniach folwarcznych, oraz matki Augusty Bachert. Rodzina była wyznania ewangelickiego i pochodziła z Radasza, wsi zagubionej w Puszczy Noteckiej.

Od 6. do 14. roku życia mała Matylda uczęszczała do szkoły ewangelickiej w Mokrzu, po której ukończeniu pomagała rodzicom w gospodarstwie. Nikt tu w sennej wiosce nie przypuszczał, że zaraz wybuchnie I wojna światowa, która pochłonie wiele ofiar spośród jej szkolnych kolegów, którzy zakończą życie w błocie pod Verdun. Już po zakończeniu wojny i po podpisaniu przez Niemcy traktatu wersalskiego rodzina Kronbergów nadal do 1920 roku zamieszkiwała Mokrzec i miała nadzieję, że może wszystko będzie „po staremu”.

Jednak wybiła godzina, kiedy odrodziło się państwo polskie i mały Mokrzec wraz z powiatem międzychodzki przypadł Polsce. Kronbergowie musieli wybierać: albo zostają w Mokrzu i przyjmują obywatelstwo polskie, albo muszą się z Mokrca wynosić. Jako Niemcy i ewangelicy zdecydowali się na opcję niemiecką i przeprowadzili się do oddalonego o 30 km Międzyrzecza, który pozostał w granicach Niemiec. Wiele rodzin z okolic Międzychodu tak zrobiło. Uważali Polskę za „państwo sezonowe” i upatrywali lepszego losu po niemieckiej stronie granicy, w *Meseritz*. Przewornie nie oddalali się jednak zbyt od ojcowizny, żeby w razie upadku Polski szybko wrócić na swoje stare śmieci. I tak rodzina Kronberg utraciła polskie obywatelstwo na rzecz niemieckiego ze względu na pełnoprawną opcję.

Optanci w Meseritz

Jako optanci z Wielkopolski Kronbergowie trafili do obozu przejściowego w Zakładzie Obłąkanych w *Obrawalde* koło Międzyrzecza. W tej placówce urzędy ewakuowane po wojnie z Poznania i uciekinierzy z dawnej pruskiej *Provinz Posen* zajęli aż 6 pawilonów.

1 sierpnia 1925 roku Matylda dostała zatrudnienie w *Heil-und Pfllegeanstalt Obrawalde*, podobnie jak inni optanci. Na początku była zwykłą robotnicą i pewnie pracowała w przyszpitalnym gospodarstwie rolnym.

Jednak po dwóch tygodniach zdecydowała się rozpocząć dwuletni staż jako uczennica pielęgniarska.

W 1927 roku jej czas szkolenia na pielęgniarkę dobiegł końca. Dr Knust, ordynator oddziału psychiatrycznego, po egzaminach teoretycznych i praktycznych ocenił Matyldę dość wysoko. Stwierdził, że jej prowadzenie się i wyniki w nauce są dobre. Została mianowana na stanowisko pomocy pielęgniarskiej (*Hilfspflegerin*). W tym samym roku została wpisana na listę oczekujących na pracę w szpitalu, widocznie było tu wielu optantów do zatrudnienia.

Życie Matyldy przebiegało bez większych ekscesów, nie licząc nagany od doktora Knusta za niewłaściwe traktowanie pacjenta w 1929 roku. Zarabiała miesięcznie około 133 marki i dostawała dodatek mieszkaniowy w wysokości 24 marek. Mieszkała ze starym ojcem emerytem przy Obrawalder Strasse 18 w Międzyrzeczu, matka już chyba nie żyła.

Afera ciężowa

Nagle 19 kwietnia 1932 roku w teczce pracowniczej Matyldy ni stąd, ni zowąd pojawia się tajemnicze zwolnienie lekarskie, w którym ginekolog dr Henrard napisał, że Matylda cierpi na obrzęk ciążowy, jest niezdolna do pracy i że poród nastąpi w przeciągu 4-6 tygodni. W piśmie do organu nadzorującego szpital, czyli Starostwa Krajowego w Pile potwierdził to dyrektor szpitala dr Steinebach.

Niezdolna do pracy z powodu ciąży...

Nagle w wydziale zdrowia w dalekiej Pile ustało stukanie maszyn do pisania i szelest przrzuconych dokumentów.

8. miesiąc ciąży? Zaraz, zaraz... A gdzie akt ślubu?

Nie ma.

Tryby wielkiej urzędniczej maszyny w Pile po chwilowym zatrzymaniu zaczęły mieć dokumenty na nowo. Przełożony dyrektora Steinebacha, starosta krajowy dr Caspari 23 maja wypowiedział się, że pielęgniarka, która zhańbiła zawód pozamatrzeńską ciążą powinna według przepisów z 1927 roku zostać zwolniona za „niemoralne prowadzenie się”.

Wydawało się, że administracja w Pile już wydała wyrok na pielęgniarkę, która ośmieliła się „złamać śluby czystości” i zająć w pozamatrzeńską ciążę. Było to tym bardziej dziwne, że były to już lata 30., po szalonych latach 20., kiedy kobiety emancypantki jeździły w spodniach na rowerach i paliły papierosy w długich lufkach. Ponadto starosta z Piły dr Caspari był socjalistą z SPD, która to partia głosiła w swym programie sprawiedliwość społeczną. Gdzie więc ta emancypacja i gdzie ta sprawiedliwość? Czyżby nie dotarła do Piły?

Zanim z *Obrawalde* doszła do Piły odpowiedź w sprawie „przydatności do pracy” pielęgniarki Kronberg, urodziła ona 21 maja 1932 roku lat bliźnięta: Liselotte i Heinza.

W czerwcu ordynator psychiatrii dr Knust wystąpił do Piły opinię, w której z godnym podziwu męskim szowinizmem opisał pielęgniarkę jako w miarę przydatną do zawodu, bez oznak nieobyczajności. Wszedł w buciorych w jej prywatne życie, opisując urzędnikom z Piły okoliczności zajścia w ciążę, a także jej sprawcę, murarza Krottke, brata jednej z pielęgniarek z *Obrwalde*, która zainicjowała tę nieprzyzwoitą znajomość.

Nie jest pożądane, aby pielęgniarki, które zajądą w ciążę w czasie pełnienia obowiązków służbowych, pozostawały na stanowisku. W interesie zawodu konieczne jest wypowiedzenie. Należy wymagać zachowania poza pracą, adekwatnego do powagi stanowiska. Jeżeli ona nie zostanie zwolniona, inni mogą żądać jej przywrócenia na stanowisko.

Zalecam wypowiedzenie i biorąc pod uwagę, że do wykarmienia jest dwójka dzieci, zatrudnienie w kuchni lub pralni.

Pod tą opinią ordynatora podpisał się dyrektor szpitala dr Steinebach i zaakceptował ją bez mrugnienia okiem starosta dr Caspari. Matylda Kronberg za swoją skandaliczną ciążę miała wylecieć ze stanowiska pielęgniarki i zostać zdegradowana do poziomu praczki lub pomywaczki w służbie szpitalnej.

Jednak socjaliście Caspariemu zaświtało w głowie, że to jednak nie czasy Cesarstwa Niemieckiego, gdzie pracodawca był Bogiem, a już Republika Weimarska, w której rozszerzono prawa robotników do zakładania związków zawodowych. Poprosił więc Komisję Urzędników Służby Cywilnej w Zakładzie Leczniczo-Opiekuńczym w *Obrwalde* o opinię w tej kłopotliwej sprawie.

W lipcu odbyło się posiedzenie komisji, na którym członkowie wydali zaskakujące oświadczenie, że Matylda jest niewinną ofiarą murarza oszusta matrymonialnego i zwolnienie jej wtrąci ją i dzieci w nędzę.

19 lipca członkowie związków zawodowych, czyli rady pracowniczej dowiedzieli się, że mimo opinii Komisji Urzędników starosta podtrzymał decyzję o zwolnieniu Matyldy Kronberg ze stanowiska pielęgniarki. Do Piły wysłano gniewne w tonie oświadczenie, w którym podkreślono, że ojcostwo to jej prywatna sprawa, i że takie przypadki miały już miejsce w 1911 i 1922 roku i sprawczyńe zostały urzędniczkami. Obyło się wtedy bez konsekwencji:

Nie możemy zgodzić się, że rozwiązanie umowy o pracę jest konieczne w interesie powagi zawodu. Bo pojawia się pytanie, dlaczego teraz, w przeciwieństwie do poprzednich przypadków, pracownica, która ma nieszczęście zostać oszukana przez mężczyznę i zajdzie w ciążę, nagle jest proszona o zachowanie poza pracą zgodne z powagą swojego stanowiska. Mówi się, że w poprzednich sprawach uznanie ojcostwa nie było brane pod uwagę.

Mimo dwóch opinii broniących Matyldy przed zwolnieniem, Krajowy Radca Medyczny dr Harriehausen postanowił jednak podtrzymać decyzję o zdegradowaniu zawodowym pielęgniarki Kronberg do poziomu salowej za „niemoralne zachowanie”. Łaskawca dodał jeszcze, że: *Nie powinno to wykluczać jej ponownego zatrudnienia jako pielęgniarki w odpowiednim czasie, jeśli będzie dobrze się prowadzić.*

Wydawało się, że los biednej pielęgniarki oszukanej przez murarza Krottke jest przesądzony.

Odsiecz z Berlina

Jednak w dokumentach rzuca nam się nagle w oczy pismo urzędowe na papierze z wielkim znakiem Ogólnego Stowarzyszenia Pracowników Przedsiębiorstw Publicznych z Berlina. Z powodu nieobecności starosty, pismo podkreślone kredką na czerwono i z dużą liczbą wykrzykników, wskazujących na ważność dokumentu, przestano Krajowemu Radcy Medycznemu dr Harriehausenowi.

Oto 15 września 1932 roku niejaka Carola Weidl przesała swoją opinię do starosty krajowego dra Caspariego, w której zbijała argumenty urzędników z Pity:

Oprócz trudnego osobistego losu, który spotkał pielęgniarkę, ma ona teraz zostać zwolniona lub karnie przeniesiona do grupy praczek lub podkuchennych. Takie zachowanie tamtejszych (z Obrawalde – przyp.aut.) władz jest tak niezrozumiałe i niesprawiedliwe, że gdyby sprawa została ujawniona opinii publicznej, z pewnością wywołałaby wielkie poruszenie. W szczególności podany przez nich powód, że zwolnienie musi nastąpić ze względów regulaminowych, jest bardziej niż osobliwe i sprzeczne z dzisiejszym ogólnym podejściem do kwestii nieślubnego macierzyństwa. Pomijając już fakt, że sam termin „niemoralne zachowanie” można interpretować jak się chce, to zupełnie niezrozumiałe jest, jaka miałyby być różnica, czy nieślubna ciąża dotyczy pomocy pielęgniarskiej, czy służącej, bo jeśli ma to być uznane za niemoralne zachowanie, to nie można uznać za niemoralne czegoś dla jednej grupy pracowników, co nadal mieści się w pojęciu moralności dla drugiej grupy.

W tym czasie starosta przebywał akurat na urlopie i w jego zastępstwie dr Harriehausen musiał przetrknąć tę gorzką pigułkę. Pismo zredagowała lekarka i aktywistka socjalistyczna Carola Weidl, specjalistka od prawa pracy w placówkach medycznych. Zachwiany w swych konserwatywnych posadach dr Harriehausen próbował jeszcze bronić swojej decyzji. Szukając wsparcia, wystąpił do starostów krajowych z prowincji Prusy Zachodnie, Prusy Wschodnie, Dolny Śląsk i Pomorze, jak sobie radzą z podobnymi skandalicznymi sytuacjami wśród pielęgniarek.

Tymczasem w Zakładzie Lecznico-Opiekuńczym w *Obrawalde* zhańbiona pielęgniarka Matylda Kronberg została zwolniona ze służby pielęgniarskiej z dniem 30 września 1932 roku i przeniesiona do pracy w kuchni.

Z deszczu po rynnę

Po skutecznej interwencji związków zawodowych Matylda Kronberg została przywrócona na stanowisko pielęgniarki z dniem 13 października 1932 roku. Postępowa i elokwentna doktor Carola Weidl wygrała potyczkę z twardogłowym i konserwatywnym doktorem Harriehausenem.

Przywrócono Matyldę do pracy. Z formularza dowiadujemy się, że mierzyła 164 cm wzrostu, ważyła 56 kilo, cerę miała nieco bladą i nosiła protezę górnej szczęki. Ze zdjęcia z dokumentów z poważną miną spogląda na nas ciemnowłosa i ciemnonoka Matylda.

Matylda otrzymała nominację na pielęgniarkę i pensję z dodatkiem na dzieci.

Jednak to nie był koniec jej kłopotów...

Sprawca ciąży, murarz Paul Krottke ani myślał o ożenku i płaceniu alimentów na bliźniaki. Miał już dwójkę dzieci z poprzedniego małżeństwa i kilkoro bękartów, i z obrażającą szczerością w sądzie wyznał, że ma za małą pensję, aby utrzymać dzieci... Pielęgniarce brakowało pieniędzy na utrzymanie dzieci, więc zwróciła się w marcu 1933 roku z pismem o zasiłek alimentacyjny do Jugendamt w Międzyrzeczu.

Matka Aryjka

5 marca partia nazistowska NSDAP wygrała wybory do Reichstagu i już w sierpniu 1933 roku wśród pielęgniarek z Obrawalde rozdano formularze z weryfikacją narodowości, które miały wykluczyć „element niepewny narodowościowo”. Matylda musiała przedstawić całe swoje drzewo genealogiczne, formularz opcji i podpisać zaświadczenie, że nie ma żydowskich przodków.

A jak ktoś miał w papierach wszystko w porządku, to dostawał od nowej władzy w nagrodę wyższą pensję. Matylda dostawała już 1600 marek. I sowity dodatek na dzieci, bo aryjczycy powinni się rozmnażać ku zadowoleniu Wodza.

Lata 1936-1938 były ciężkie dla Matyldy. Miała pod opieką dwójkę małych dzieci i ojca staruszka. Na domiar złego zachorowała na różę i uległa ciężkiemu wypadkowi, po którym leżała ponad miesiąc w szpitalu.

Po powrocie otrzymała od Nadprezydenta Marchii Granicznej mianowanie na urzędnika państwowego o następującej nasyconej ideologicznie treści:

W związku z tym, że do tej pory nie zawiódła Pani zaufania pokładanego w Pani podczas zawierania umowy o służbę cywilną poprzez sumienne wypełnianie obowiązków służbowych oraz zachowanie w biurze i poza nim, otrzymuje Pani dożywny status urzędnika służby cywilnej wraz z niniejszym świadectwem zgodnie z § 28 niemieckiej Ustawy o Służbie Cywilnej, w oczekiwaniu, że nadal pozostanie Pani lojalna wobec Führera i Rzeszy oraz będzie sumiennie wypełniała swoje szczególne obowiązki urzędnika służby cywilnej prowincji.

Pod dokumentem znalazł się dopisek: *Jest uważana za wiarygodną politycznie.* Ostatnim dokumentem w aktach jest adnotacja, że szpital musiał jej wypłacić w 1941 roku niestusznie potrącone składki w wysokości 225 marek. Tutaj urywa się ślad w oficjalnych dokumentach Matyldy Kronberg.

Zbrodnie na Oddziale VIII

Według relacji pielęgniarki Marianny Grocholewskiej, w 1943 roku, podczas akcji „eutanazji” pacjentów psychiatrycznych w szpitalu w Obrzycach Matylda pracowała na Oddziale VIII, gdzie przebywały pacjentki psychiatryczne z chorobami zakaźnymi. Była zastępczynią pielęgniarki oddziałowej Berty Hellmiss. Według Grocholewskiej: *Kronberg miała około 50 lat, była wysoka i szczupła, przy czym miała siwe włosy. Kronberg była także starą panną.*

W roku 1942 lub 1943 na oddziale pojawiła się komisja z NSDAP w towarzystwie dyrektora Waltera Grabowskiego i od tej pory wszystko się zmieniło. Zamiast leczyć zakaźnie chore pacjentki, pielęgniarki zaczęły je uśmiercać na polecenie lekarki dr Hilde Wernicke.

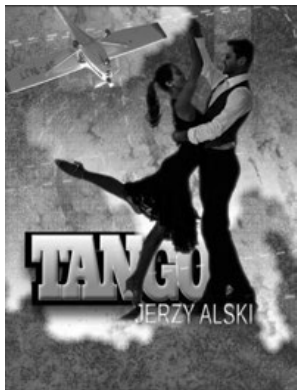
Rano na oddział przychodziła pielęgniarka oddziałowa Amanda Ratajczak lub Luise Erdmann, która wołała do dyżurki na rozmowę oddziałowe Helmis, Kronberg lub Schmidt. Po konsultacjach siostry przygotowywały strzykawki z roztworem morfiny i skopolaminy w śmiertelnej dawce i udawały się do sali, gdzie przebywały trzy lub cztery chore. Po ich wyjściu te kobiety po kilku godzinach umierały. Na Oddziale VIII uśmiercano dziennie od dwóch do czterech osób. Ciało zamordowanych kobiet zabierano *komando* pacjentów i wywoziło na przyszpitalny cmentarz.

Po wkroczeniu do Obrzyc oddziałów Armii Czerwonej 29 stycznia 1945 roku słuch po Matyldzie Kronberg i jej bliźniętach zaginął. W jej aktach nie ma listów do starostwa z prośbą o wypłacenie pensji, jak to miało miejsce w przypadku jej koleżanek. Z pewnością nie mieszkała po wojnie w RFN, ponieważ nie postawiono jej zarzutów w procesie pielęgniarek w Monachium w 1965 roku. Wydaje się, że albo podobnie jak pielęgniarz Martin Ratajczak mieszkała w NRD, albo jak pielęgniarka z Oddziału VIII Marianna Grocholewska pozostała po polskiej stronie granicy i wróciła do rodziny do Międzyzochodu, mając nadzieję, że Polacy nie odkryją jej mrocznej przeszłości.

KATARZYNA SZTUBA-FRĄCKOWIAK: mieszka w Pszczewie, pracuje w Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej. Jest absolwentką historii i języka francuskiego Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz studiów doktoranckich na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 2024 roku ukazała się jej książka *Od Obrwalde do Obrzyc 1904-2024. Historie prawdziwe.*

TANGO ILUZJI

Anna Dominiak



Są książki, które czyta się z niekłamaną przyjemnością, są takie, które wywołują irytację – i są też te, które niebezpiecznie balansują na granicy obu doznań. *Tango* Jerzego Alskiego to przykład literatury, która wciąga, zachwyca językiem i jednocześnie budzi pewien rodzaj czytelniczego zawstydzenia. Bo oto znów dają się ponieść tej niezwykle plastycznej, wybujałej wizji świata, tej operze emocji i egzaltacji, choć wiem, że to iluzja. Alski po raz kolejny oddaje czytelnikom powieść, która hipnotyzuje barokowym stylem i wizualną wyrazistością, a jednocześnie nie pozwala zapomnieć, że mamy do

czynienia z konstrukcją mocno odrealnioną.

To kolejna książka wydana w Wydawnictwie Atena – jak zwykle opatrzona piękną, malarską okładką, obiecującą historię namiętności i emocjonalnych skrajności. I rzeczywiście, *Tango* to historia miłości, tyle że w wersji Alskiego – pełnej wielkich słów, materialnych gestów, spektakularnych uniesień i bohaterów, których życie płynie w rytmie luksusu, sztuki i nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności.

W centrum wydarzeń mamy Roberta – dojrzałego, zamożnego i ustosunkowanego mężczyznę, który w wyniku wypadku lotniczego ląduje w środku kartoflanego pola należącego do ojca Justyny. To spotkanie inicjuje historię miłosną, która – jak u Alskiego – nie zna półśrodków. Justyna, maturzystka z zamożnego, ale pełnego mrocznych tajemnic domu, natychmiast przeprowadza się do jego rezydencji, gdzie, wśród kotów i koronkowych piżamek w misie, zaczyna się wielka namiętność. Jest egzaltacja, są nieskończone zapewnienia o miłości, jest też schemat, który w twórczości Alskiego pojawia się zawsze – relatywnie podstarzały amant, nastolatka, a wokół nich świat patrzący z rozczeniem i akceptacją, niezależnie od tego, jak niestosowna wydaje się ta relacja.

I tu pojawia się ta charakterystyczna dla autora iluzja – rzeczywistość, w której wszyscy dorośli bohaterowie traktują parę jak dzieci (choć Robert jest w wieku jej ojca), a każda decyzja Justyny, nawet ta najbardziej absurdalna, spotyka się z zachwytem otoczenia. Bo Justyna, rzecz jasna, jest wyjątkowa – jako początkująca aktorka w roli Chimeny olśniewa, w tangu porusza się z nieprawdopodobną gracją, dostaje się na prestiżową Akademię Teatralną bez egzaminów, a w alpejskim kurorcie jej styl na stoku zwabia dziennikarzy Vogue'a. To postać, która w swojej

egzaltowanej niewinności przypomina pastisz bohaterki z klasycznych melodramatów – młodej, pięknej, a zarazem nieświadomej złożoności własnych emocji. Jej nieodczarowana trauma staje się kluczem do zrozumienia lęku przed seksem, co idealnie wpisuje się w wyidealizowany, lecz wyraźnie przerysowany obraz jej życia. Jednak źródło tej traumy do końca pozostaje tajemnicą.

Nie byłyby to Alski, gdyby nie dygresje. Po raz kolejny pozwala sobie na erudycyjne wywody – tym razem reinterpretacje *Makbeta* czy *Salome*, które, zamiast budować głębię, wydłużają narrację i stanowią pretekst do dalszego epatowania językową wirtuozerią. Bo język – jak zwykle – jest najmocniejszym punktem tej prozy. Plastyczny, żywiołowy, bogaty, pełen błyskotliwych porównań i kunsztownych obrazów. To on sprawia, że nawet gdy irytuje mnie treść, nie potrafię oderwać się od tekstu.

Jednak pod tą warstwą estetycznego przepychu kryje się opowieść o świecie, który bardziej przypomina aspiracje niż rzeczywistość. Mamy tu bohaterów otoczonych luksusem, którym wszystko przychodzi bez większego trudu, gdzie problemy rozwiązuje się jednym gestem, a dramaty są zawsze tylko na tyle bolesne, by dało się je pięknie opisać.

Finał? Oczywiście dziecko. Bo u Alskiego zawsze pojawia się dziecięcy bohater, który pozwala na kolejne zdrobnienia i eksplozję rodzinnych uniesień. Po wielu perturbacjach okazuje się, że ojcem syna Justyny jest zdradzony Robert, a po kilku wzruszających scenach wszyscy odnajdują swoje szczęście.

Czy to wszystko mnie drażni? Oczywiście. Czy mimo to przeczytałam książkę z zapartym tchem? Bez wątplenia. Autor po raz kolejny udowadnia, że potrafi pisać – i że nawet gdy jego historie ocierają się o operę mydlaną, to dzięki literackiemu kunsztowi pozostają hipnotyzujące.

Czyżby największą sztuką Alskiego było właśnie to tango – taniec między kiczem a literacką wirtuozerią? Jeśli tak, to muszę przyznać, że znów mnie w nie wciągnął. I jak zawsze – czekam na kolejne kroki.

Jerzy Alski, *Tango*, Wydawnictwo Literackie Atena, Poznań 2024

ANNA DOMINIAK: polonistka, bibliotekarka, recenzentka poezji i prozy, autorka wierszy. Zajmuje się redakcją książek, a także moderuje spotkania literackie. Mieszka i pracuje w Świebodzinie.

Kobieta ze złotej klatki

Beata Igielska

Od lat czytam powieści Iwony Żytkowiak. Dlaczego? Bo nigdy nie zawiodłam się na jej prozie. Proza ta natomiast zawiodła mnie nieraz w interesujące miejsca i pokazała skomplikowane relacje międzyludzkie, zaintrygowała, zaciekawiła, skłoniła do refleksji. Sprawia, że nawet po odłożeniu książki na półkę, nie przestałam o niej myśleć.

Tak też było w przypadku nowej powieści *Kim bytaś Anno?*

Tytułowa bohaterka powieści ginie w wypadku. Wracała autobusem od matki. Jej mąż, Witold, jest w szoku, a jego stan potęguje zawartość worka przekazanego przez pracownicę szpitala. Znajduje się w nim skórzany neseser zawierający erotyczną bieliznę, której Witold nigdy nie widział. A przecież wiedział o swojej żonie wszystko. Powinien wiedzieć, bo stale ją kontrolował. To on zbudował dla niej złotą klatkę, w której nie brakowało nawet przystoiowego ptasiego mleka... Jednak czy na pewno?

Kim tak naprawdę była Anna? Kobieta po pięćdziesiątce, matka, żona... I córka...

Kiedyś była dziewczyną. Miała marzenia i wszystko wskazywało na to, że zrobi karierę. Jej studenckie obrazy doceniali i podziwiali najwięksi znawcy tematu. Co takiego się stało, że zrezygnowała z życiowej szansy?

Te pytania towarzyszą nam od początku lektury, ale zanim poznamy ostateczną odpowiedź, musimy uzbroić się w cierpliwość. Autorka starannie dozuje napięcie i stopniowo odstawia prawdę o tytułowej bohaterce. Równoległe poznajemy losy jej matki i to zestawienie nie jest przypadkowe.

Bardzo ważne są retrospekcje i tak naprawdę to one stanowią klucz do zrozumienia bieżących wydarzeń. Przeszłość i teraźniejszość są jak rozsypane puzzle, które czytelnik musi poukładać w całość, by odczytać opowieść o zderzeniu marzeń z brutalną rzeczywistością.

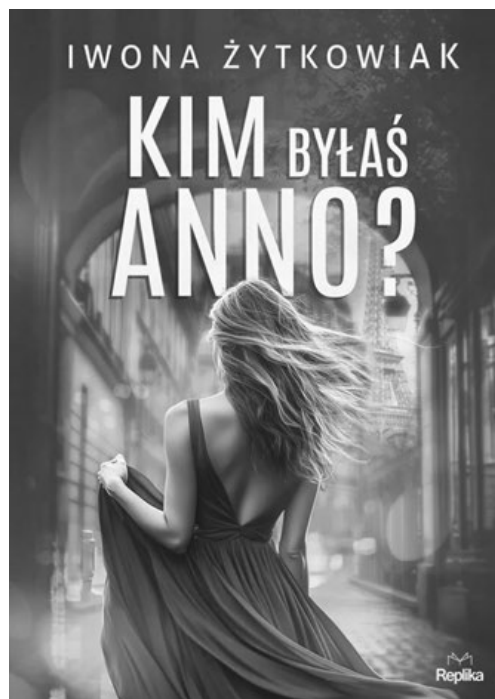
Iwona Żytkowiak kolejny raz udowadnia, że potrafi dojrzałe, frapująco i hipnotyzująco pisać o kobietach oraz rodzinnych relacjach. Nie mogą zbyt wiele zdradzić o decyzji Anny, która w pewnym momencie próbuje zmienić swój los. Jest to jednak ta część fabuły, która jednych może zszokować, a innym da do myślenia.

Podoba mi się sposób, w jaki autorka kolejny raz pisze o seksualności kobiet – i tych młodych, i dojrzałych. Dla pisarki nie ma tematów tabu i już nieraz to udowodniła. A najważniejsze, że potrafi ona pisać o seksie bezpruderyjnie i jednocześnie z klasą – rzadko spotykane zjawisko w rodzimej literaturze ostatnich lat.

Kreacje postaci to kolejny plus. I dotyczy to nie tylko głównych, ale i drugoplanowych bohaterek oraz bohaterów. No właśnie, bohaterów. Mężczyzn. Bardzo

zaintrygował mnie mąż Anny. Nie umiałam go polubić i nie polubiłam, ale w pewnym momencie zaczęłam zastanawiać się nad tym, jaki wpływ na jego życie miała toksyczna matka. Wciąż nie wiem, czy współczuję Witoldowi, który został sam po tragicznej śmierci żony. Ta kwestia bardzo mnie uwiera i swędzi... – to też sprawia, że książka odłożona na półkę żyje we mnie. A to chyba najlepsza rekomendacja.

Iwona Żytkowiak, *Kim byłaś Anno?*, Wydawnictwo Replika, 2025



BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowzięci. Od 2021 wiceprezesa gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich i zastępczyni redaktora naczelnej „Pegaza Lubuskiego”. Od 2024 roku prowadzi w Książnicy Herberta warsztaty literackie Padok Pegaza.

ZWYKŁE MIASTO, NIEZWYKŁA MIŁOŚĆ

Anna Dominiak

Roman Habdas to twórca, który od lat zachowuje w swojej twórczości uważność na szczegóły codzienności, którą łączy z dystansem i czułością.

W najnowszej poetyckiej książce pt. *Odrobina* kieruje swoją uwagę w stronę miasta i jego mieszkańców, jednak w centrum tej opowieści stawia coś więcej niż tylko miejskie sceny czy pejzaże. To historia decyzji, od której nie ma odwrotu – decyzji o przyjęciu pod swój dach dziecka, dla którego świat nie chciał znaleźć miejsca.

Książkę otwiera wiersz *Poczęcie* – to w nim padają słowa, które stają się dla autora i jego żony przełomowe. Siostra Michaela Rak, znana z pracy na rzecz hospicjum w Wilnie, wysłuchawszy historii małej Ani, mówi: *To wy ją przytulcie*. Te słowa rozwiewają w przyszłych rodzicach wątpliwości, z którymi – każde we własnej głowie – zmagano się od miesięcy. I słowa te stają się ciałem.

Anulka, czyli tytułowa Odrobina, jest dzieckiem, którego nikt nie chciał adoptować – ze względu na jej niepełnosprawność kolejne rodziny zastępcze rezygnowały z opieki. Żona autora, pracująca w domu dziecka, w którym przebywała dziewczynka, nie potrafiła przejść obok tej historii obojętnie. Ale zanim decyzja zapadła, były wahania, dylematy, hamletyczne rozterki – bo jak wziąć na siebie tak wielką odpowiedzialność, gdy własne dzieci są już dorosłe?

Habdas nie pozostawia złudzeń co do losu dzieci takich jak Anulka. Widać to choćby we fragmencie:

Dziecko niekoniecznie trzeba urodzić w szpitalu.

Gdy przyjdą bóle, dobre jest każde miejsce i chęć parcia.

Wystarczy własne ręce, by przerwać pępowinę. Czasami na zawsze.

Dziecko, które przychodzi na świat w chaosie, wśród przekleństw, bez miłości, skazane jest na tułaczkę po placówkach opiekuńczych – taka jest właśnie geneza Odrobiny. Poeta wspomina o zimnym świecie, gdzie *przypisano jej dom, w którym co chwilę zmieniają się ręce i twarze matek*. A potem o procedurach adopcyjnych – żmudnych, biurokratycznych, wymagających niemal nadludzkiej cierpliwości. Wszystko po to, by w końcu mogła nastąpić ta prosta, zwyczajna chwila, w której dziewczynka wreszcie doświadczy świętości kuchni. Owsianki na mleku, bajki zwyczajności.

Początkowo książka miała być opowieścią o osiedlu – o jego podwórkach, mieszkańcach, także o przemijaniu ludzi i miejsc. Pomysł wplecenia w tę historię Odrobiny przyszedł później, bo przecież to właśnie tutaj – wśród tych ludzi, w tym pejzażu – toczy się jej życie. Poeta sportretował Gorzów z jego aurą, rytmem i topografią.

W jednej z codziennych scenek widzimy go na spacerze z rodziną po niedzielnym obiedzie, kiedy *mijają zabujane w dziewczynce huśtawki*, jakby całe miasto powoli układało się w ich osobistą historię.

Ale Habdas nie patrzy na to miejsce przez różowe okulary. W jego wersach przewijają się narzekacze, którzy *karmią się ludzką cierpliwością, są wszędzie – od piaskownicy po kółka różańcowe*. W innym miejscu mówi o stopniowej degradacji – zarówno w sensie materialnym, jak i społecznym. Ale w tym świecie są też ludzie dobrej woli, którzy pomagają, wspierają, sprawiają, że świat mimo wszystko nie jest miejscem całkowicie wrogim dla istnień takich jak Odrobina.

Niepełnosprawność dziewczynki to fakt, który trzeba przyjąć bez złudzeń. Widać to w wersach:

Mała jak zwykle, koślawi stopy.
Ortopeda powtarza: Modelką nie będzie.

Autor unika wielkich słów, nie chce być nazywany herosem. Wplata w tę historię nawet elementy ironii i humoru. Jest po prostu ojcem, który robi to, co trzeba – z żoną mierzą się z codziennymi trudnościami, ale i odnajdują w tym radość. Opieka nad tym wyjątkowym dzieckiem jest misją i zadaniem, które umacnia ich więź. Poeta mówi o wspólnym życiu:

Moje z tobą od półwiecza,
wliczając ławkę pod antonówką.
Od pierwszej ciąży do ostatniego potogu

– to wyjątkowa refleksja o sile i głębi małżeńskiej relacji, której mocne fundamenty dały kochający dom zagubionemu dziecku.

Habdas zatem nie idealizuje swojej rzeczywistości, ale potrafi znaleźć w niej światło. W jednym z wierszy opowiada o snach, w których Odrobina mówi. W tych wizjach zdradza, o czym marzy – choć przecież wie, że to się nigdy nie spełni. To przejmujący obraz, bo właśnie w takich momentach wybrzmiewa najgłębsza czułość: pogodzenie z losem, ale i bezwarunkowa walka o dobrostan dziecka.

W jednym z wierszy poeta, cytując Niemena, zwraca się wprost do Odrobiny:

Odrobino, dziwny jest ten świat, a wszechświat?
Człowiek zaledwie kropką w pytajniku.
A co wtedy, kiedy jutro w ostatnią drogę?

To pytanie powraca – co dalej? Jak długo jeszcze będą w stanie dźwigać tę codzienność? *Dziś jeszcze są dwoje do pieczenia chleba, do codziennej zmiany pieluch, wymiany nowych treści, zaliczania lekarzy i podawania maści wszelkich rehabilitantów...* Dzisiaj jeszcze dają radę, ale co potem?

Mimo tych wątpliwości w tej poezji nie ma rozpacz. Jest świadectwo codziennego trudu, wysiłku, ale i pewien rodzaj zgody na rzeczywistość. Finalnie pojawia się myśl, którą autor podziela z Niemenem: *Lecz ludzi dobrej woli jest więcej*. To właśnie oni sprawiają, że świat – mimo wszystko – nie jest miejscem, w którym takie dzieci jak Odrobina są skazane na samotność. Habdas wie, że nie ocali świata, ale wie też, że czasem wystarczy ocalić jeden jego fragment.

Roman Habdas, *Odrobina*, Gorzów Wielkopolski 2025

Z WIARĄ W CZŁOWIEKA

Beata Igielska

Elżbieta Skorupska-Raczyńska nie lubi być nazywana poetką. Sama o sobie tak nie mówi. A jednak ja używam i będę używała tego słowa. Nie dlatego, by autorce *Liściarni* zrobić na przekór. Jej wiersze są poezją, niewątpliwie wartościową i pod każdym względem dopracowaną, zatem nie sposób mówić i pisać o ich autorce inaczej. *Liściarnia* to nowy zbiór, jednak zawiera nie tylko wiersze z 2024 roku, ale także utwory powstałe nawet kilka dekad wcześniej. Może dlatego całość układa się w liryczną opowieść o człowieku, życiu i świecie.

Dobrym Ludziom poetka zadedykowała ten tomik i przez pryzmat tej dedykacji odbierałam całość, niezmiennie zastanawiając się, czy i ja znajduję się w tym gronie...

W większości wierszy podmiot liryczny wypowiada się w pierwszej osobie, dzięki czemu odbiera się utwory emocjonalnie, nieraz szukając w nich części siebie. Ta osobista, refleksyjna, filozoficzna liryka synestezyjnie oddziałuje na czytelnika. Czujemy chłód wieczoru, słyszymy odgłosy przyrody i szum muszli, widzimy zapadający zmierzch i budzący się dzień, kolory przedmiotów oraz natury, wdychamy zapach poduszki i porannej kawy...

Przede wszystkim jednak reagujemy emocjonalnie na doznania, uczucia, przeżycia – i indywidualne, i zbiorowe. Gdy mamy do czynienia z liryczną formą „my”, identyfikujemy się z nią. Bo poetka pisze nie tylko o człowieku jako jednostce, ale przygląda mu się również przez pryzmat zbiorowości. Jest człowiek i są ludzie, bardzo różniący się, ale mający też ze sobą wiele wspólnego. Ich wyjątkowość nie polega na wielkich osiągnięciach, karierze, sławie. Paradoksalnie można powiedzieć, że siła i niezwykłość znajdują swoje źródło w zaletach codzienności i sztuce ich odkrycia, docenienia, pamiętania...

Dużo jest w *Liściarni* wierszy poruszających problemy życia, przemijania, śmierci, która jest nieunikniona; samotności, także wśród ludzi. Przejmujące są liryki, w których poetka szuka odpowiedzi na pytania: Czym jest życie i czym nie jest? Po co zostało nam dane?

Prawda, chwila, zawsze... – to kluczowe słowa i częste motywy, które przemawiają do czytelnika w wyjątkowy sposób. Podobnie jak kontrastowe zestawienia, np. ciepłego, rodzinnego domu z pustką i beznadzieją.

Niektóre wiersze układają się w krótkie cykle, które łączy nie tylko podobieństwo tytułów, ale i tematyka. To wiersze poświęcone Matce i mówiącym ludziom. Podobnie jak w wielu innych lirykach, kończy je puenta. Te zaskakujące ostatnie słowa często sprawiają, że dopiero dzięki nim odczytujemy sens i zatrzymujemy się na chwilę (albo na dłużej).

Liczne są w *Liściarni* odwołania do świata przyrody. Zwierzęta, rośliny, zjawiska zostają nawet upersonifikowane lub zanimizowane. To samo dzieje się z przedmiotami i uczuciami (*milkną huśtawki, piłki (...) drzewią złachane na skraju murawy, środkiem drogi wlecze się samotność*).

Trudno nie zwrócić uwagi na neologizmy, które albo powstają ze złamania reguł pisowni, albo mają słowotwórczy charakter (*sensbezsensu, psiepaństwo, ilustramletni, namowne nowomoty, odinaczyć, ownuczyć, autozaprzaiący*, tytułowa *liściarnia*). Widać tu duszę i umiejętności językoznawcy, ale także godną pozazdroszczenia wyobraźnię i wrażliwość na słowo.

Uwidaczniają się one również w odwróceniu ról – w *Moim psie* to tytułowy bohater wyprowadza człowieka na spacer, co w połączeniu z metaforycznym znaczeniem kilku wersów tworzy niezapomniane wrażenie.

Liryka Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej to nie tylko językowe eksperymenty. To także ujmująca, ale niepozabawiona metaforyki prostota języka, który jest jednocześnie komunikatywny, niezwykły i barwny. Nie polega jednak na barokowej ornamentacji. Jego siła tkwi w połączeniu ekonomii słowa z głębią myśli i emocji.

Wpływ na to na pewno mają także konteksty, w których poetka odwołuje się do: Biblii, twórczości Leonarda Cohena, Elizy Orzeszkowej, Władysława Hasióra czy Alejandra Casony.

Trudno nie zauważyć także wplecionych w wiersze związków frazeologicznych, którym nieraz jest nadawane nowe, zaskakujące znaczenie.

Warto przeczytać i czytać ten zbiór. Chce się do niego wracać z różnych powodów. Także dlatego, że w jednym z ostatnich wierszy podmiot liryczny wypowiada krótkie, ale dobitne zdanie: *Wierzę w człowieka*. Dla mnie to myśl przewodnia i doskonałe podsumowanie *Liściarni*.

Elżbieta Skorupska-Raczyńska, *Liściarnia*, Gorzów Wielkopolski 2024

Foto: AJP



KARTKA Z PAMIĘTNIKA

Helka Cąkała

20 listopada 2008, czwartek

Dziewiąty dzień w Radzyminie u Janka. Postanowił urządzić mi ucztę kulturalną i, nie powiem, postarał się. Przedwczoraj byliśmy w teatrze POLONIA na sztuce Woody'ego Allena „Bóg” w reżyserii Krystyny Jandy. Występowali: Elżbieta Czerwińska, Maria Seweryn (którą Janek nazywa Marysią), Piotr Machalica i Wiktor Zborowski, Cezary Żak i inni. Dla mnie plejada gwiazd. Wczoraj znów teatr. ATENEUM. Tutaj spektakl Vaclava Havla „Odejścia” w reżyserii Izabeli Cywińskiej z udziałem Haliny Łabonarskiej, Krystyny Tkacz, Artura Barcisia, Grzegorza Damięckiego, Piotra Fronczewskiego, mojego ulubionego Mariana Opani i (proszę o fanfary) Barbary Horawianki (gościnnie) i na koniec Danuty Szaflarskiej (także gościnnie). Tu mi się przypomina, jak kiedyś Janek wyznał:

– Mamo, zakochałem się. – I gonitwa myśli. Matko Boska, czy on zwariował?

– Synu, ile ty masz lat? W kim?

– W Danucie Szaflarskiej. – A miała już wtedy ponad 90 lat. Uff, co za ulga. A to mnie wystraszył. I przypomniał mi scenę z filmu *Pora umierać*, kiedy bohaterka filmu (Danuta Szaflarska) podchodzi do kierowcy ciężarówki i zagaja mniej więcej tak:

– Panie kierowco, bardzo przepraszam, czy może mi pan pomóc, nie mogę sobie przypomnieć, jakie to zwierzątko zjadło Czerwonego Kapturka?

Pan kierowca zmarszczył brwi, zamyślił się, na twarzy malował się wielki wysiłek intelektualny, po czym pytał:

– Wilk?

Na to Szaflarska:

– Bardzo dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. Jak to dobrze spotkać czytanego człowieka. Uśmiecham się. Jak to dobrze, że to Szaflarska jest obiektem miłości mojego syna. Uroczą staruszką. Podobno przy nagrywaniu tego filmu (*Pora umierać*) reżyser pokazywał jej, jak staruszka chodzi po schodach. „Nie jak motylek! O, tak” i tu zademonstrował, jak staruszka wchodzi na schody, trzymając się kurczowo poręczy. On lat może 49, ona powyżej 90.

No więc miałam okazję widzieć Danutę Szaflarską. Rzadka gratka, chyba już się nie powtórzy taka okazja.

Idę spać. Jest pół godziny po północy, szybko do łóżka.

21 listopada 2008, piątek

Wracam do domu, do Gorzowa. Trasa toruńska zatłoczona niemożebnie. Most pontonowy jest zapchany, staty jest w remoncie i stąd ta udręka. To chyba nie była dobra decyzja, żeby tędy jechać. No, nareszcie. Zasuwamy, jakbyśmy chcieli nadrobić stracony czas. Mijamy miejscowość o chyba najdłuższej w Polsce nazwie – Stare Paprockie Holendry. Potem Brzeżno i zaraz będzie Konin, ale Janek nagle spostrzeża tablicę z napisem: Licheń. Jeszcze tam nie był, ja byłam, nie szkodzi zobaczyć jeszcze raz. Mamy po prawej Las Grąbliński i w głębi bazylika. Imponująca. Ogromna. Wchodzimy po trzydziestu trzech stopniach. Siedem rodzajów marmurów echem odbija nasze kroki. Pusto. Cudowność miejsca jest sezonowa. Siadam na chwilę, może się pomodlić? Czy tu w ogóle można się modlić? Zimno, ale to nie z powodu temperatury. To zimno jakieś uczuciowe. Wobec tego ogromu, wysokości, czuję się maleńką kruszynką. To dobrze – myślę – przed Bogiem jestem maleńka. Tylko, że ja tu Boga nie czuję, ja tu widzę pychę ludzką, bogactwo takie na pokaz. „Patrzcie, na co nas stać”. Takie oto myśli chodzą mi po głowie. Lepiej wyjdźmy. Bazylika stoi w sporym oddaleniu od skromnego kościoła i innych obiektów przykościelnych. Idziemy, żeby przejść Drogą Krzyżową bardzo jarmarczną, żeby spojrzeć w twarz Chrystusowi i przeprosić za to, że tak paskudnego uczynił Go jakiś domorosty artysta. Takie tu wszystko żałosne i prostackie. A tam w głębi bazylika taka nowobogacka, ogromem porażająca, masywna. Nabieramy w butelki „cudownej” wody i z mieszanymi uczuciami odjeżdżamy. Za Koninem przerwa na obiad i dalej do Poznania. Znowu korek! Żeby skrócić oczekiwanie, opowiada dowcip:

Blondynka zwierza się koleżance:

– Moja siostra urodziła dziecko.

– Chłopiec czy dziewczynka? – dopytuje koleżanka, a ona:

– No właśnie! Nawet nie wiem, czy jestem ciocią, czy wujkiem.

Do domu dotarliśmy przed ósmą wieczorną godziną. W sumie podróż trwała prawie jedenaście godzin, ale nie byliśmy zmęczeni. Może to za sprawą cudownej wody, którą wypiliśmy? Janek lubi łączyć podróż ze zwiedzaniem. Często mnie zaskakuje jakąś propozycją. A to jakiś zamek, a to skansen albo muzeum, zawsze jest coś do zobaczenia. Lubi też opowiadać dowcipy, zastyszane ploteczki, anegdoty teatralne. Zbierał je, gdy kiedyś pracował w gorzowskim teatrze jako operator świateł. To wtedy potknął bakcyła teatru. Jeszcze teraz, kiedy wchodzi na widowię, odruchowo spogląda, jak rozmieszczone są reflektory. Najusilniej przygląda tym w teatrze OCHOTA, bo mieści się on w dawnym kinie i ma bardzo nietypową scenę. Podróż z tym gawędziarzem to sama przyjemność. Zwłaszcza że wszystkie rachunki to jego sprawa. Nigdy nie pozwoli, żebym się dołożyła.



BEZ.IMIENNIE, ANALOGOWO

Agnieszka Dobrzyńska

W kolażu analogowym fascynuje mnie możliwość poruszania się pomiędzy różnymi światami, łącząc nieoczywiste elementy, wykorzystując do tego ciekawe materiały pod względem tekstury, barwy, treści, obrazu i formy.

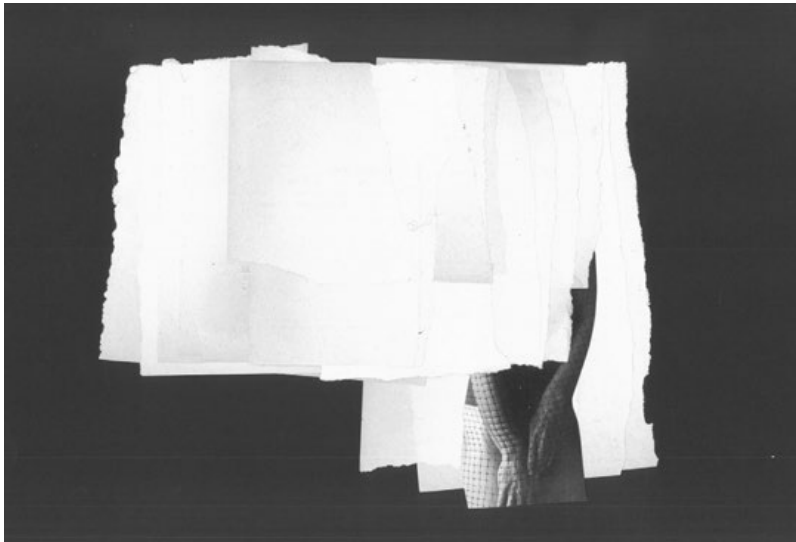
Tworząc kolaż, daję sobie przestrzeń do myślowej eksploracji.

W wyniku tego procesu powstaje wielopoziomowy przekaz, który każdy może zinterpretować przez pryzmat swoich doświadczeń.

Główną sferą inspiracji jest człowiek i jego wzajemne relacje, odczucia między przestrzenią a samym sobą.

Kolaż jest rezultatem poszukiwań. Staje się nośnikiem wszystkiego, co niewypowiedziane.

AGNIESZKA DOBRZYŃSKA: gorzowianka. Zajmuje się tworzeniem kolaży analogowych. Na swoim koncie ma kilka wystaw indywidualnych i zbiorowych. Prowadzi pracownię artystyczną, gdzie organizuje autorskie warsztaty i miniwystawy swoich prac. Na instagramie można ją znaleźć pod nickiem bez.imiennie.



KWARTAŁ U HERBERTA

Gabriela Rodak

VARIA



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

15 listopada odbyła się gala IV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Grossa. Wydarzenie poprowadził aktor kabaretowy Grzegorz Halama. Muzycznie wydarzenie uświetnił zespół Five & Gross. Wydarzenie zostało objęte patronatem marszałka województwa lubuskiego Marcina Jabłońskiego.

20 listopada w ramach IV Poranka Poetyckiego zebrani zapoznali się z twórczością Bożeny Ambroży, Jolanty Sawickiej oraz „ELEN”. W części muzycznej wzięli udział uczestnicy Środowiskowego Domu Samopomocy z Witnicy oraz Warsztatu Terapii Zajęciowej z Chwałęcic.

3 grudnia grupa Teatralni z II LO wystawiła spektakl pt. *W tym domu*, oparty na opowiadaniach Marka Hłaski. Wydarzenie zorganizowano z okazji obchodów roku autora. Spektakl reżyserowała nauczycielka i pisarka Aneta Gizińska-Hwozdyk.

29 listopada w ramach 120. rocznicy urodzin Witolda Gombrowicza w Bibliotece Herberta zorganizowano Rejs Transatlantykiem. Prowadzącym spotkania był dyrektor Książnicy Sławomir Szenwald. W programie znajdowała się prelekcja dr Justyny Bucknall-Hołyńskiej. Fragmenty *Trans-Atlantyku* oraz wywiad Gombrowicza z krytykiem literackim odczytali Artur Nełkowski, aktor Teatru im. Juliusza Osterwy, ze Sławomirem Szenwaldem.

18 grudnia gorzowian zaproszono do Książnicy na czytanie performatywne *Śniegu* Stanisława Przybyszewskiego w wykonaniu Teatru Mostów. W spektaklu wystąpili: Magdalena Dwurzyńska, Magdalena Kasperowicz, Natalia Dębicka, Barbara Czubiński, Jakub Choroszyński i Konrad Pruszyński. Pokaz taneczny zaprezentowały Anna Dębicka oraz Urszula i Hanna Pomorskie. Wystąpiła również solistka Magdalena Kasperowicz. Podczas spotkania zorganizowano zbiórkę przeznaczoną na wsparcie Hospicjum św. Kamila w Gorzowie Wielkopolskim.

2 stycznia w Willi Hansa Lehmana odbyło się spotkanie „Wokół Chanuki. Słowo, muzyka i historia”. Poprowadził je dyrektor Sławomir Szenwald, który mówił o zwyczajach związanych ze świętem, a także o społeczności żydowskiej w Landsbergu (dawnym Gorzowie). Aktor Michał Anioł zaprezentował publiczności humor żydowski. Klarncista Orkiestry Filharmonii Gorzowskiej Grzegorz Tobis zagrał kilka klezmerskich melodii.

17 stycznia dyrektor Biblioteki Herberta Sławomir Szenwald wystąpił z prelekcją dotyczącą historii książek, pisma i druku pt. *I książki mają swoją historię... Od tabliczki glinianej do ebooka*. Prowadzący przybliżył zebranym ewolucję książek na przestrzeni wieków. Podczas spotkania można było obejrzeć wystawę cennych starodruków oraz opraw ze zbiorów Biblioteki Herberta.

WARTO CZYTAĆ NAD WARTĄ

22 i 23 listopada w Bibliotece Herberta odbył się VI Lubuski Festiwal Słowa – Warto czytać nad Wartą. Olgierd Łukasiewicz przeczytał wybrane opowiadania Sławomira Mrożka z tomu *Krótkie, ale całe historie*. Maria Pakulnis zaprezentowała książkę autobiograficzną *Moja nitka*. Odbyło się

spotkanie autorskie z Tomaszem Jachimkiem. Anna Kamińska przedstawiła swoją publikację *Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak*. Dariusz Rosiak oraz Grzegorz Dobiecki, dziennikarze prowadzący *Raport o stanie świata* zostali zaproszeni do rozmowy o projekcie. Dr Tomasz Makowski oraz Sławomir Szenwald dyskutowali o czytelnictwie wśród Polaków. Laura Łącz odczytała fragmenty powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego pt. *Miasto mojej matki*. Gościem gorzowskiej Książnicy był również Jakub Ćwiek. Festiwal zakończył się pokazem filmu



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



Foto: WIMBP w Gorzowie Wielkopolskim

dokumentalnego pt. *Simona*. Wydarzenie było objęte honorowym patronatem Marszałka Województwa Lubuskiego Marcina Jabłońskiego. Spotkania autorskie zrealizowano w ramach programu Dyskusyjne Kluby Książki.

SPOTKANIA AUTORSKIE

21 listopada w ramach programu Dyskusyjnych Klubów Książki gorzowska Książnica gościła Agnieszkę Pruską, autorkę książek dla dzieci i dorosłych. Na spotkanie zaproszono dzieci z gorzowskich szkół podstawowych.

29 listopada Helena Dobaczewska-Skonieczka promowała najnowszą książkę pt. *Żywe drzewo Włodzimierza*, domykającą tryptyk rodzinny. Moderatorką wydarzenia była Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. W trakcie spotkania Helena Dobaczewska-Skonieczka przeplatła wypowiedzi recytacją swoich wierszy w języku polskim oraz esperanto.



Foto: WIMBP w Gorzowie Wielkopolskim

28 listopada w ramach programu Dyskusyjnych Klubów Książki Bibliotekę Herberta odwiedziła Barbara Wysoczańska, autorka powieści historycznych i obyczajowych. Pisarka opowiedziała o priorytetach swojej pracy oraz o swoich przygotowaniach do pisania.

9 stycznia w gorzowskiej Książnicy odbyło się spotkanie z Adamem Zadornym, dziennikarzem, reportażystą, autorem publikacji *Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku*. Gość wspominał pracę nad książką i w fascynujący sposób przedstawił historię katastrofy oraz śledztwa. Spotkanie moderowała Kinga Konieczny.

7 lutego w gorzowskiej Bibliotece gościł Zbigniew Waleryś. Rozmowa z aktorem była okazją do wspomnień o artystach, z którymi był związany, m.in. z Papuszą. Zbigniew Waleryś w ramach retrospekcji wyrecytował kilka wierszy poetki.

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



WYSTAWY

8 listopada w Galerii Pod Kopułą otwarto wystawę „Połączone jutrem” autorstwa Lidii Suchockiej, przedstawiającą zbiór portretów, autoportretów i aktów.

Na werandzie w Wilii Lehmana dostępna była ekspozycja pt. „Umundurowanie Wojska Polskiego. Powstanie listopadowe 1830-1831”. Faksymile litografii barwnej przedstawiają mundury pułków pieszych i jazdy Wojska Polskiego z czasu powstania listopadowego. Autorem prac jest rysownik i litograf Teofil Mielcarzewicz.

10 stycznia w Galerii pod Kopułą odbył się wernisaż wystawy pt. „Nie tylko architektura”, która prezentowała rysunek i malarstwo ośmiu gorzowskich architektów: Pawła Sierakowskiego, Wiesława Szlachciuka, Elwiry Tarkowskiej, Barbary Witostawskiej, Tadeusza Łuczki, Macieja Plusta, Marty Jakubowicz i Urszuli Kobiątki. Oprawę muzyczną wernisażu zapewnili Małgorzata Rusak-Mietlińska i Marek Piechocki.

24 stycznia na drugim piętrze Galerii pod Kopułą otwarto wystawę malarstwa Krzysztofa Swarczewskiego pt. „Klan dobrych”. Ekspozowane zostały wielkoformatowe, dynamiczne dzieła o bajkowej estetyce i złożonej symbolice.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

NOWA MARCHIA

29 listopada w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie” Kamil Wrześniński wygłosił wykład o językowym aspekcie twórczości Paukszty. Prelekcja skupiła się w znacznej mierze wokół języka *Kartek z Ziemi Lubuskiej*.

9 grudnia Wojciech Zachariasz pochylił się nad tematyką poniemieckich nekropoli w ramach prelekcji *Upamiętnić czy zapomnieć? Sprawa poniemieckich cmentarzy na terenie gminy Rzepin w województwie lubuskim*. Wnikliwa analiza stanowiła wstęp do dyskusji o podejściu do poniemieckiego dziedzictwa kulturowego w Polsce.

16 stycznia historyk Krzysztof Motyl przedstawił referat dotyczący najnowszych wyników badań nad odcinkiem fortyfikacji Pozycji Noteckiej pod Gorzowem Wielkopolskim. Prelegent w oparciu o ilustracje archiwalne omówił cechy konstrukcji schronów bojowych i zaprezentował opracowane przez siebie plansze z obiektami Pozycji Noteckiej.

AMERYKA W TWOJEJ BIBLIOTECE

9 grudnia na prelekcję dr Kamili Kamińskiej pt. *Mamy TO! O prawach człowieka z perspektywy uczestnictwa młodych ludzi* zaproszono licealistów, którzy zapoznali się z działalnością Stowarzyszenia Edukacji Krytycznej we Wrocławiu kierowanego przez dr Kamińską. Wydarzenie było częścią projektu „Každy jest równy, každy jest inny”, realizowanego w ramach programu „Ameryka w twojej bibliotece” i finansowanego przez Departament Stanu USA.

PEGAZ LUBUSKI

19 grudnia promowano ostatni w 2024 roku numer czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” (4/99) oraz tomik poetycki Tomasza Korbanka *Szkice na marginesach*. Prezeska Związku Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk podsumowała pracę wydawniczą związku w 2024 roku. Redaktorka naczelna czasopisma oraz jej zastępczyni Beata Igielska przedstawiły zawartość kwartalnika. Do rozmowy zaproszono również lubuskiego literata Tomasza Korbanka. Dialog dotyczył tomiku poetyckiego pisarza, będącego jednocześnie jego debiutem literackim. *Szkice na marginesach* to zestaw starannie dopracowanych wierszy niosących refleksje o naturze i świecie.

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



KONCERTY

11 listopada w holu Biblioteki zabrzmiały pieśni patriotyczne, a to za sprawą koncertu Orkiestry Siedlice pod dyrekcją Grzegorza Krzeskiego. Wydarzenie zorganizowano z okazji Narodowego Święta Niepodległości.

12 listopada w ramach koncertu pt. „Upragniona wolność” Anna Maria Adamiak zaprezentowała pieśni patriotyczne, legionowe oraz utwory z repertuaru Hanki Ordonówny. Koncert został zorganizowany przez klub Na Zapiecku i dofinansowany ze środków Urzędu Miasta Gorzowa Wielkopolskiego.

26 listopada podczas koncertu pt. „Zapisane w nutach” wystąpili uczniowie Państwowej Szkoły Muzycznej I i II im. T. Szeligowskiego w Gorzowie Wielkopolskim z klasy śpiewu solowego Beaty Gramzy i klasy fletu Barbary Sawińskiej. Przy fortepianie akompaniowała Magdalena Bańkowska-Moskwa i Anastasiya Lukyanenko.

14 grudnia z autorskim recitalem fortepianowym pt. „Słowem i Muzyką” wystąpiła Małgorzata Rusak-Mietlińska. Pianistka przedstawiła twórczość kompozytorów stowiańskich nawiązującą do folkloru, poezji i twórczości plastycznej.

Również 14 grudnia w ramach cyklu „Popołudnie z muzyką” organizowanego przez Gorzowskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego w Gorzowie Wielkopolskim z repertuarem klasycznym wystąpili uczniowie Mariny Rusak z Państwowej Szkoły Muzycznej I st. w Strzelcach Krajeńskich oraz Państwowej Szkoły Muzycznej I st. im. Jana Ciesielskiego i Państwowej Szkoły Muzycznej I i II st. im. Tadeusza Szeligowskiego w Gorzowie Wielkopolskim.

28 grudnia w Książnicy Herberta podczas koncertu pt. „Pod niebem Paryża” piosenki francuskie wykonała Marzena Szumlańska-Śron. Stanisław Dobrzański akompaniował na akordeonie, a poetki Janina Jurgowiak i Krystyna Woźniak przedstawiły wybrane liryki. Realizatorami programu byli: MCK, RSTK i WIMBP. Scenariuszem i reżyserią koncertu zajęli się Czesław Ganda, prezes gorzowskiego oddziału RSTK.



Foto: WIMBP w Gorzowie Wielkopolskim

16 stycznia w ramach cyklu „Popołudnie z muzyką” organizowanego przez Gorzowskie Towarzystwo Muzyczne wystąpili młodzi uczniowie klas skrzypiec z Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Tadeusza Szeligowskiego w Gorzowie Wielkopolskim. Byli to wychowankowie Elżbiety Tomasińskiej, Joachima Wróbla, Aleksandry Górskiej, Macieja Grygla i Hanny Szurkały.

OD REDAKCJI

Agnieszka Moskaluk: OKAZJE	1
----------------------------------	---

WIERSZ NA OTWARCIE

Beata Patrycja Klary-Stachowiak: CAMINO PALMERO W HOLLYWOOD	2
---	---

TEMAT NUMERU: OKAZJE

Hanna Kaup: Z OKAZJI OKAZJI	4
-----------------------------------	---

Maria Gonta: OKAZJA CZY PECH, PECH CZY OKAZJA	12
---	----

Janina Jurgowiak: OKAZJA! OKAZJA!	16
---	----

POEZJA

Edyta Plucińska: WIERSZE	18
--------------------------------	----

*** [„prawda jest tym ...”]	18
-----------------------------------	----

*** [„praktykować życie ...”]	18
-------------------------------------	----

*** [„twórcza świadomość ...”]	19
--------------------------------------	----

*** [„wiera to myśl ...”]	19
---------------------------------	----

*** [„ego karmi mnie ...”]	20
----------------------------------	----

wszystko to mój wybór	20
-----------------------------	----

cichy stuga	21
-------------------	----

technika uwalniania	22
---------------------------	----

cel ekspresji	22
---------------------	----

MINIATURA

Zbigniew Witostawski: INFERNO	23
-------------------------------------	----

FELIETON

Jerzy Hajduga: DZIK SALONOWY	25
------------------------------------	----

Agnieszka Zatylna: NIC NIE STOI NA PRZESZKODZIE	26
---	----

POEZJA

TOMASZ KORBANEK: WIERSZE	28
--------------------------------	----

Nic więcej	28
------------------	----

Mijanie	29
---------------	----

Jesienni	30
----------------	----

OPOWIADANIE

Olga Smolec-Kmoch: OKAZJA MATKĄ GŁUPICH	32
---	----

POEZJA

Aneta Długofęcka: OKAZJE	36
--------------------------------	----

chtód	36
-------------	----

mieszkanie	36
------------------	----

matżeństwo	37
------------------	----

już	37
-----------	----

mentalnie rozwiedziona	38
------------------------------	----

najtrudniejszy pierwszy krok	38
------------------------------------	----

przyzwyczajenie to okropny wyraz	39
--	----

na zimno	39
----------------	----

po wyprowadzce	40
----------------------	----

ostatnia szansa	40
-----------------------	----

OPOWIADANIE

Magdalena Kubacka: WIĘCEJ OKAZJI NIE BĘDZIE	42
---	----

POEZJA	
Agnieszka Moroz: WIERSZE	48
*** [„Urodziłam się we ...”]	48
*** [„Jestem twoją prywatną ...”]	49
*** [„Zagłosuj na mnie ...”]	50
Katarzyna Maciantowicz: WIERSZE	52
M3	52
OPOWIADANIE	
Aneta Gizińska-Hwozdyk: TWOJA ZWINIĘTA PIĘŚĆ	53
SATYRA	
Ferdynand Głodziak: OKAZJE (TRYPTYK)	56
Pan kotek był chory	56
Oferta (pantum)	57
Ktoś puka	58
LIMERYKI	
Halinka Bohuta-Stapel: LIMERYKI	59
MINIATURA	
Katarzyna Barbara Gucałto: CHODŹ NA SŁÓWKO	60
POWIEŚĆ (FRAGMENT)	
Maciej J. Dudziak: QUASI-TRAKTAT O DŁUGOŚCIACH I SZEROKOŚCIACH GEOGRAFICZNYCH	61
ESEJ POETYCKI	
Maria Borcz: WYZWOLONY	72
wyzwolony	72
FELIETON	
Łucja Fice: MOŻE	76
MINIATURA	
Maciej Satański: SEN O BIAŁYCH PTAKACH	78
OPOWIADANIE	
Agnieszka Monika Olszewska: PRZYPADKI I PORZĄDKI	80
MINIATURA	
Władysław Edelman: WERNISAŻ	84
POWIEŚĆ (FRAGMENT)	
Paweł Skiba: SPOTKANIE Z HETMANEM WIELKIM SAPIEHĄ	86
MINIATURKI	
Andrzej Haegenbarth: OKAZJE HEGENA	94
HISTORIA REGIONU	
Katarzyna Sztuba-Frąckowiak: DZIWNE LOSY MATYLDY KRONBERG	96
RECENZJA	
Anna Dominiak: TANGO ILUZJI	102
Beata Igielska: Kobieta ze złotej klatki	104
Anna Dominiak: ZWYKŁE MIASTO, NIEZWYKŁA MIŁOŚĆ	106
Beata Igielska: Z WIARĄ W CZŁOWIEKA	108
KARTKA Z PAMIĘTNIKA	
Helka Cąkata: KARTKA Z PAMIĘTNIKA	110
SZTUKA	
BEZ. IMIENIE, ANALOGOWO	113
KWARTAŁ U HERBERTA	
Gabriela Rodak: KWARTAŁ U HERBERTA	114



ZLP

Wojewódzka i Miejska Biblioteka
Publiczna im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim
oraz
Związek Literatów Polskich
Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

zapraszają do nadsyłania
swoich tekstów
do **2. numeru**
w 2025 roku
czasopisma literackiego

PEGAZ LUBUSKI

TERMIN NADSYŁANIA PRAC:
DO 30 KWIETNIA 2025

TEMAT PRZEWODNI: SMAK



PADOK PEGAZA 2025

warsztaty literackie ZLP
z BEATĄ IGIELSKĄ

4 KWIETNIA 2025

17:00

**WIMBP W GORZOWIE
UL. SIKORSKIEGO 107
SALA NR 8**

Piszesz? Chcesz popracować nad swoim warsztatem?

Te zajęcia są dla Ciebie!

Napisz tekst pod hasłem:

A WTEDY WSZYSTKO SIĘ ZMIENIŁO...
(koniecznie przynieś go na pendrive!)
przygotuj wyostrzone pióro, bo czeka nas poetycki turniej.

Podczas warsztatów będziemy czytać przygotowane przez uczestników prace, wspólnie poddawać je analizie i dobrze się bawić.

Zapraszamy!